LIBRARY

KR

KROPLE CZARY.

POEZYE.

Spisał i wydał

Ernest Buława.

Lipsk.

Paweł Rhode.

1865.

74

884-1

K 69/3 1966

z. 153202

Ujrz
niążki.

I da
zmierz k
która jest
ganom. —

Jak
kończyn w
śmiertelną
widmo Ch
oczy i pad

Wszys

Część pierwsza.

Ujrzał też i niektórą wdowę ubożuchną wrzucającą dwa pieniążki.

(Ewan. według Łukasza XXI. 2).

I dano mi trzcinę podobną lasce, i rzeczono mi: wstań, a zmierz kościół Boży — i ołtarz i modlące się w nim — a sień która jest przed kościołem wyrzuć precz, albowiem dana jest poganom. —

(Objawienie Ś. Jana. XI. 1. 2).

Jak nowonarodzoną gwiazdę ujrzałem postać wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem że będę nieśmiertelny, bom nieśmiertelną ukochał — i kołomnie z prochu dźwigali się mężе i widmo Chrystusa bielało nad niemi w powietrzu. — — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

Sen Cezary.

Wszystko jest kalectwem w naturze Moskiewskiej! —

Hercen.

Kiedy po
pejski, wę
kilka odła
poćwierto
była przez
skiej — d
jedno pań
wały w żel
dów przes
jak Aleks
chwili poc
massy, na
plemienny
ców kuszą
Wielki na
ustaw i no
nowania na
sunięcia si
podział swo
czeniu barb
świata, z
rzeki pocho
i dawną ide
rozdzielenie
nione więcéj
władzców, ła
w nowych
patrzą w nie
z ludów poch
na nowo wyl
jeden cofa si

Kiedy potop olbrzymich hord, zalewających świat Europejski, wędrówką ludów nazwany, opadać począł; i na kilka odłamów rozpadnięty zdał się poruszać jak hydra poćwiertowana mieczem dziejów ognistym — utorowaną była przezeń, po zburzeniu spruchniałéj potęgi Rzymskiej — droga krzyża. — Mijały już chwile — kiedy jedno państwo lub jeden człowiek opanowywały i porywały w żelazne, magnetyczne objęcie przemocy całe ludów przestrzenie, mianując się głową ich tułowu — jak Aleksander Wielki i Roma — i z końcem téj chwili poczyna się zaród średnich wieków — odtąd massy, na nowo przebudzają się do poczucia pewnych plemiennych samoistności — niektórzy z jedynowładzców kuszą się jeszcze o to — ale jeden tylko Karol Wielki na przestrzeń życia swojego, mieczem, księgą ustaw i nową ideą, potrafił rozciągnąć ten rodzaj panowania nad światem, i jakgdyby przeczuciem tego posunięcia się naprzód ludzkości, spełnił niepolityczny podział swojego państwa . . . Bo dzikie hordy, na ukończeniu barbarzyńskiego pochodu po gruzach starego świata, z czcią symboliczną w korycie odwróconej rzeki pochowały tego, co im przewodniczył — a z nim i dawną ideę państwową, której pierwszą wróżbą było rozdzielenie państwa Rzymskiego — odtąd, odosobnione więcéj narodowości, pod wodzą swoich jedynowładzców, łacząc się i rozdzielając plemiennie osiadają w nowych siedzibach — i jedni (a tych najmniéj) patrzą w niebo, inni spojrzeli po ziemi — i co który z ludów pochwycił, imał sępiemi szpony, a wśród nich na nowo wylęga się prawo pięści. — I hord tych odłam jeden cofa się w dawne siedziby, inny zostaje na bło-

niach pobojowisk, a reszta obejmuje ziemie, których ludy wyparła i wymordowała, lub zagarnia nowe jeszcze, ponętne sobie krainy i w nich z témi, których tam zastała, osiada, zlewając się niekiedy z niemi w jedną całość (Chińsko-Tatarską) Tytaniczną, jaką tylko czas i wyższe zrządzenie utworzyć zdolne — odtąd, ludy te idą przez długą pracę wieków, niewiedząc o tem, dawszy sobie dłonie do jednego celu — do postępu jednéj chrześciańskiéj rodziny narodów — a jeźli jądro narodowości w zarodzie dusz ich tkwiące, różnémi pchnęło ich drogami, drogi te jednak u wspólnego zbiegły się celu — wszech rzek Oceanu, bo zagłębiwszy się w dzieje świata, niemożna niepoczuć niewidzialnéj ręki Opatrzności, Boga dziejów, — który obdarzywszy każdego i wszystkich wolną wolą — wiedzie jednak niewidzialnie potok dziejowy właściwém mu korytem. — I niemogłoby być inaczéj, choćby ze względu tylko na słabszą i pokrzywdzoną część ludzkości. — I jedne ludy osiadły wschód, inne zachód Europy — i drgają przyciągającą lub odporną, jakby przekazaną siłą ku sobie. Roma (szczep Romański) rozpadła się na trzy części, dziedziczki swoje — trzy sieroty Romy, mające unieść szczątki jéj spiżowego języka, jedyną (prócz mamutowych ruin) pozostałość, do dziejów świątyni. — Z tych jednéj — z okiem ognistém jak stal kindżału, i pochodnią zapału w namiętnéj duszy, która łatwo w furyę zemsty się zmienia, przeznaczono było z żelaznem berłem potęgi, kiedyś w odległej przyszłości stanąć na hydrze świata — ale pycha i zawiść, acz w fałdach świątobliwości zdziałały, iż rozdarła własne swe łono — i nagle skarlała, jak nagle wzrosła — bo przeciw słowom Chrystusa, słowo jego nie miłością lecz przekleństwem i ogniem szerzyła, każąc zasługi Chrześciańskich męczenników — a przeto miecz ognisty w świat wymierzony, w nią ugodził i zniéj powstało robactwo, które ją rostaczać miało, że jak orle z złamanem skrzydłem, wężem pełznąc, podrzuca się gwałtownie — lecz nieulata. I potęga jéj znikła w ciemnościach Eskuryalu . . . Wtóréj sie-

rocie Romy wolno było w namiętne ramiona objąć kolumny jéj gruzów, i wkopany w nie krzyż olbrzymi otoczyć wonnémi splotami włosów swoich — i z pieśnią na ustach poglądając w ideał, strzedz Romy, po raz wtóry Pani świata — mniéj ponura i dzika niż pierwsza siostra, niemniéj namiętna, przeczuciem cudném wzięła w siebie piękności ducha Greckiego aureolą Chrześciaństwa ubłogosławione i zdała się kwiatem ludzkości — natchnieniem i gracyą bez końca — lecz lud ten zwolna, nie z mieczem ni sztandarem w dłoni, lecz z sztyletem zawiścią chytrą zatrutym, rzucił się na siebie, i pod kilką ciemięzcami rozerwał nikczemnie — drgając ku jednéj całości — lud ten nieszczęśliwy zabija, lub sam pada, przeto na resztę braci niezawoła: Wstań! ale czeka aż jemu pomogą. — Trzecia sierota Romy, uśmiechnięta gwiazda zachodu, najwięcéj życia i walki miała w sobie — czyn i waleczność zdały się jéj celem — każden ruch jéj acz gwałtowny — napiętnowany tém co poźniéj zaklęła w bożyszcze swoje w słowie: Honor! — raz nawrócony lud ten garnie się do krzyża — długo jęczy pastwą tyranów, ale w kościu jak lew budzi się zwolna i strząsnąwszy pył niewoli z głowy swojéj — straszniéj i wścieklej niż Bogowie Romy, — okazał ciemięzcom świata czém wolność niewolnika, a w nemezie hystoryi przekleństwo tyranów — i z okruchów pęt swoich rozsiał nasiona wolności po globie — godłem jego był kogut (gallus gallicus) jako śmiały i zapalający się — na śmierć lub tryumf lecący, i czujnie piejący o jutrzni na zaparcie Piotra — a u nas prostota stawiała instynktem ptaka tego na krzyżu przy drodze? — Kogut ten nagle zolbrzymiał w orła, w którego mocy było zwalczyć hydrę niewoli, i uwolnić wszystkie ofiary — ale wąż pychy skrępował lot jego i runął sam w przepaść ciemności — a nic prócz jęku i przekleństw niezrodziła wielkość jego, bo nic bezpośrednio dla nikogo niezrobił — i przeto spruchniał piekielną zgryzotą upokorzenia! Przykuty do skał Prometeusza! — — — W pośródku Europy zaś osiadły ludy jasnowłose, barczyste—

dzikie, gwałtowne i tajemnicze jak szum borów sosnowych, wiejący niemym głosem wędrującéj groźnej Sagi (szczep Germański). Lud ten tak w czasach barbarzyństwa, jak późniéj, gdy swe barbarzyństwo apostolstwem udrapował, kosztem innych ludów, jak najbardziéj się rozszerzać pragnął. Moralność jego i dobra wiara z czasem nikła coraz bardziéj — raz przyjąwszy światło wiary, zapragnął w Chrześciaństwie przedstawiać upior Cezara — a kiedy Karol Wielki upuścił podwójne berło nad hydrą Germańsko-Romańską — ostatni z nich postanowił być wyobrazicielem téj myśli — i w imię wiary świętéj, własną szerzyli potęgę, (do czego wiara pozorem im była —) jedną ręką mieczem Cezarów stalowym, a drugą w habit żelazny mnicha okutą, barbarzyństwem nietylko nie katolickiém, lecz niechrześciańskiém, chcieli apostołować Chrześciaństwo.

W obec tych szczepów Europejskich stanął trzeci w wschodnio-północnéj części Europy; lud inny, którego zródła biją gdzieś w zamierszchłych dziejów oddali a różni wróżą je różnie. Między nim a tamtémi przepaście — i ztąd wszystkie następstwa dziejowe. Był to szczep Słowiański — od początku swego znaczył w dziejach zawsze raczéj jako lud ofiary i poświęcenia się przy waleczności swojéj, niźli jako lud inicyatywy, przeto Rzymianie już urągając mu w swéj potędze zwali go ludem niewoli — i lud ten potykał się nieraz z panterami cyrków. To plemię jak rój pszczół ciągnące gromadnie, rozłożyło się w ziemi, opanowanéj przez siebie spokojnie i miłościwie, ziemi którą pokochało jak drzewo, co zniéj wydarte — ginie. Rzesze te mają już w pogaństwie coś błogosławionego, Bogiem sławionego, przeczuwającego Chrystusa, w charakterze swoim. Gościnnie zasiadły na swoich obszarach jak patryarchów potomki, a cztery twarze światowida pogodnie poglądały ku całemu światu — bronić swego, nie pragnąc cudzego zamierzając. — Przyjąwszy Chrzest żył według słowa, w dobréj Sławie i stał się też Słowiańskim — a słowo ciałem — czynem — stało się wśród niego, tak jak stać się miało wśród ludów. — On rad był od razu

na jego przyjęcie, jak dobra rola acz płakał z żalu za swémi prastarémi Bogami. Spokojność i cicha, pobożna rzewność — miłość roli i niepodległości na niéj, przy czystości sumienia — to wieczne i odwieczne cechy psychologiczne szczepu słowian. — Acz nosi w sobie zgubne ziarno waśni i rozdwojenia, podejrzliwości i braku wytrwania, choć ma niebezpieczną opieszałość przy wszechstronném uzdolnieniu, a krzywdy doznane, choć przebaczy, rzadko zupełnie zapomina — mimo tych braków plemię Słowiańskie czuje pokrewieństwo swoje w dziejach — miłość jego trwa i pod jarzmem tyranów, i czując się ogniwami jednego łańcucha, wie, że nań przyjdzie wielka kolej w historyi — pomimo że niebraknie szatanów, coby go zawsze różnić dla wiecznego ujarzmienia pragnęli, pomimo innych, którzy go kusili, jak Mikołaj, car nie słowiańskiéj lecz tatarskiéj hordy, która pod Słowiańskość się podszyła, który pod firmą Panslawizmu z jednéj, a zagarnięciem Carogrodu z wtóréj strony, chciał świat ścisnąć w ojcowskie objęcie niedźwiedzia, a struwszy się tą ideą, innym ją na truciznę ich przekazał — mimo tego — plemię to czuje głęboko siebie i powołanie swoje w ludzkości. Pomimo braku porozumienia dostatecznego kiedyś jedna iskra, te światy jednakiéj palności zapali — choć nawet między sobą ma plemie to takich, coby go rozbratać chcieli — znikczemnieją oni, i nic prócz hańby nieostanie po nich — a od iskry téj wstaną pożary, których łóna rozświeci ciemności świata — bo plemię to wyzyskiwane i gorszone, plemię, któremu żądłami węży wypalają wzrok, ducha by niewidziało swéj przeszłości — poczuje się! w imię Chrystusa poda sobie dłonie, a niezawisłe i samodzielnie pod jednego ludu moralném przewodnictwem, stanie kiedyś, klęskami swémi mądre i silne w obec świata — i za innych jeszcze się upomni. — Mrzonka! nie jeden krzyknie — zaprawdę — złe li czy dobre jest mrzonką według praw świata? . . . Ludy te zleją się sercem i myślą — tak jak je rozćwiertowano — zestroją się w całość ładu — (Ładо bożyszcz Słowiańskie) aż harmonia naro-

dów jak odwieczna sfer harmonia, wedle swych przeznaczeń, nie cudu cudem, lecz własną siłą, pracą i wolą miłościwą poleci wieńcem wieków dokonanych opasać stwórcę swego i u stóp jego wtórą harmonią nieśmiertelną dokonania grać w wieczności! . . . Zapewne wiele jeszcze wody — (i krwi niemało) upłynie pierwéj — ale prawdę zły i dobry czuje w szpiku kości swoich. — Wśród rzesz słowiańskich, jak matka pszczół, lud jeden „między dwoma morzami“ u stóp Karpatu się osiedlił — serce to ludów słowiańskich. Niebawem o jego zasługach i mękach — błędach i pokucie — świętości i posłannictwie wśród świata, mówić tylko będzie bluźnierstwem — boć dzieje jego — są już w genezie świata, żyją iskrami czynu i pieśni — a do téj karty zbliży się każde pokolenie a w milczeniu odczyta sprawy jego — i ujrzy, że On ludy zwraca, sam umęczon, w drogę Ewanielii, z któréj zeszły. — Lud Polski jest dziś kapłanem Boga w kościele Historyi — a czynnikami jego wszyscy, co go składają, głównie zaś ci, co światło wśród innych szerzyć mają — ludzie myśli, wieszcze i artyści — ci powinności mają najświętsze w obec narodu. — Wieszcz lub artysta Polski nie jest dziś już u nas tém, czém u innych ludów, gdzie poezya tylko estetyczną zabawą. — Wieszcz (czy artysta) Polski jest kapłanem prawdy i piękności w drogiéj ojczyźnie swojéj, której z dumą i szczęściem synem zwać się może — ale poezya przez niego okazuje ojczyźnie drogę prawdy do szczytu wiodącą, — pociesza braci, ostrzega, wzmacnia, namaszcza, opłakuje lub gromi. — Dzieło wieszcza lub artysty bynajmniéj nie jest jego zasługą — jeźli on jest wybranym, to w natchnieniu bożem przynosi z sobą anioła, którego głos mimowolnie dzwoni w jego sercu — głos ten w kolebce już głowę jego ubłogosławił słowiczą gerlandą motylich wspomnień, z pian i odmętów jego duszy młodzieńczéj wytryska dziewiczą tęczy aureolą, a męzkie czoło wieńcem piorunów pasując na cierpień rycerza, ciernie jego żywota przeplata cichemi przedświtów gwiazdami — a w blasku

ich wiedzie go w nowe światy wiary i jutra, przez piekła zbrodni pokutujących, przez czyste żywioła po mamutowych szkieletach zapadłych światów i zgruchotanych posągów, ku słońcu prawdy i sprawiedliwości! ... Zasługa więc którą własną nazwać może, jest samodzielne opanowanie tego wszystkiego siłą i pracą ducha, — w bohaterskiém okiełznaniu wszelkiej (złej) materyi, w ciągłém usiłowaniu, by życiem własném niezadrżał w obec siebie samego kłamu prawdom i pięknościom, które wygłasza — by z jego plam niewstydły węże i nie syknęły w żywe oczy, lub kiedy ludzie obejdą grób jego: skłamałeś tej świątéj, któreś przysiągłeś wiarę do końca! zasługą jego bezpośrednią, jeżeli ma więcéj miłości jak dumy, a dumy jak boleści — wreszcie w czystości duszy, wspaniałości serca, surowości obyczajów, i miłości ojczyzny, któréjby wszystko! (piękność nawet) poświęcić był zdolny! w niezłomności przekonań bez zarozumienia, w samowiedzy (i poczuciu sił swoich) bez pychy, w nauce, przykładzie i wyrozumieniu — to jest nieżądaniu od ludzi więcéj jak od nich żądać można — boć nie wszyscy mają skrzydła — a i od niego kiedyś niemało zażądają. Jak dawniéj wyrzekł wielki wieszcz niemiecki, że co ma ożyć w pieśni, musi zginąć w rzeczywistości — tak u nas dziś odwrotnie: „co ożyło w pieśni, musi ożyć w rzeczywistości!!“ — oto jest dogmat pieśni naszéj — i spojnia jéj nierozerwalna z życiem, ku którego trzem wynikom, prawdzie dobru i piękności jest ona nieśmiertelnym ludzkości drogoskazem! ... Jeżeli tego stanowiska swego w obec Polski nie czuje, nie jest sobą — jest niczem! i spada tam:

Gdzie spada bez piorunu błyskawica chęci,
Kwiat spada bez owocu, mistrz bez arcydzieła ...

jeżeli nie czuje świętości takiego kapłaństwa! ... które winno spogańszczowe kupiectwem i niewiarą ludu zwrócić na nową drogę dobrej nowiny, jedynego postępu, kiedy one cywilizacyą wzięły za cel — a nie za środek do tego celu! ... kiedy im ziemia i używania nie wystarcza, boć są dzwonem olbrzymim ale bez

serca — który się miota próżno, bo zadzwonić niemoże!... sercem tem, które zagra w Europy dzwonie harmonią cudów — jest Polska! kiedy inne części narodu pracują nad zawieszeniem tego dzwonu, to jest odzyskaniem niepodległości politycznéj; on w tym samym celu, nad dźwiękami jego czuwać powinien wśród swego ludu. — Godłem ducha świętego! pod niebem z rozłożonémi śnieżnémi skrzydły błogosławiąca ziemi w postępowym locie, po krwawych polach pobojowisk — lud ten plemienia Słowiańskiego, poczuwał w sobie niejedno podobieństwo z ludem Gallów, skłonność usposobień, i przymierze czasów zbliżały je ku sobie, jakkolwiek niejedna przepaść była między niémi — oba waleczne, dla wiary lub sławy, nie dla zysków skore bić się w sprawie uciśnionych. —

Ale rządy, mistrze ludów, okryły się zbrodniami i podłością, która się ich cnotą i rozumem stała odziane w łachmany złota i purpury krzyknęły: Używać! i padły w objęcie obecnej chwili, nieoglądając się na otchłań przeszłości, kędy płakały ich anioły i cienie ich matek — a zasłaniając oczy przed przyszłością, jak przed jarzącym już wschodem słońca, któremu trzeba zaprzeć wrota, bo po nich przyjdzie! Za zbrodnie te — ofiarą odkupienia — padł lud jeden czysty i dobréj woli! . . . Chrystusów lud nie jego grobów lecz Europy bronił od pogańskiéj szarańczy, — który na jego krzyżu rozpięto na ofiarę, lud który zawsze leciał tam, gdzie bronić nie napadać trzeba było — skrzydłami orlicy w niebo lecący, drogami, o jakich się innym nieśniło — i przeto ukrzyżowali i zamarzyli go zabić! Koleje jego wiadome; w koło ma trzech katów: jeden dąży do zagarnięcia świata w objęcie ciemności i mieni się Słowianinem drugi, (utuczony) oberwaniec z Zygmuntowskiéj sfory, trzeci w gałganach togi Rzymskiéj, którą na nowo w 46 roku pofarbował, krwią ludu Sobieskich przedaje się za katolika świątobliwego — w koło świat z słowami żalu na ustach, rządy Judasze i ludy niesamodzielne! . . . Ludu tego ofiara za wielka być o niej mówić — on rozkrzyżowany walczy do końca z trójcą piekielną — dużo walk przed tobą o ludu! ale więcéj potęgi i boskości w tobie, o nieśmiertelny! Idź naprzód! patrzący w niebo — i przebaczaj z twéj wysokości nie tylko tym, co niewiedzą, ale i tym, którzy wiedzą co uczynili! Atoli w zamęcie walk słyszałeś głos wielki jak dzwonu — głos wśród ludu napozór brat-

niego tobie!... gdy jedni synowie twoi marli nad brzegami Sekwanny niewidząc ojczyzny, a inni w zaspach Sybiru, gdy w ojczyźnie powstały sieroty usarskich skrzydeł, którym tylko gruzy i mogiły świadczyły o niej, gdy oduczano ojców mowy i chciano oduczyć, że są narodem! — Ale nad tobą gwieździ trojakie opatrzności oko! dziesiąty już pocałunek Judasza splugawił a niesplamił jasności liców twoich — ty sama przez siebie wstaniesz przez lud twój, o Polsko! a łona twego krwawa chmura na wschodzie rozedrze się i zdrojem światła rozleje pod krzyżem świateł strugi — boć krzyża twego ramiona niemdlejące unoszą się w niebo nad dziejów Oceanem — a po jedności fal schodzisz ty jasna — dotąd przykuta, byś inne ludy, acz silne, ty słaba i wedle nich konająca przygarniała — z krzyża nowéj ofiary, z krzyża chwały co piętnem hańby bywał — idź! — idź przez świat z nieśmiertelnością żywych nad umarłe — z cierpienia potęgą, przygarniaj i przebaczaj — wznoś do końca! do słońca słońc — aż w jego! objęcie, którego początkowi niemasz końca!...

(Kraków — 1857, po zakończeniu wojny Krymskiéj).

Pozawczoraj i wczoraj.

Ballada.

I.

POZAWCZORAJ.

Gdy stary miecznik, groźny, doświadczony
W wielu potrzebach jak miecz wyszczerbiony
Zbudował dworzec modrzewiony wielki,
Musnął wąs — i rad był nad wyraz wszelki!
I z połowicą raz jeszcze w kościele
Odprawił złoty szlub — potem wesele
Prawnuka swego, śród rycerstwa wiela
I była huczna ciżba wśród wesela . . .
Były tam pany możne i cne w chwale,
Splendor Korony, Litwy, wdzięk niewieści
I był królewski wysłaniec, co w cześci
Z gratulacyami przybył okazale . . .
I pozawieszał Miecznik w wielkiéj sali
Czterdzieści wielkich konterfektów starych
Ojców, co w bojach za matkę padali,
Orłom proch kości powierzając szarych . . .
I powiódł miecznik wielkiém — świetném kołem
Polskiego tańca po ogromni sali,
Jak tęczy wstęgą — a z swéj blizny czołem
Pojrzał na ojców co się z ściany śmiali . . .
A był ród jego Chrobry i stateczny,
Co bolał każdą raną z swą ojczyzną

I ztąd mówiono — że jako świat wieczny,
Każden po Ojcu już się rodził z blizną! . . .
I gdy Pan Miecznik cały dwór zbudował
Jeszcze piwnicę na wino fundował,
Wielką — sklepioną — w niéj beczki zatoczył,
Ustawiał długo — aż się dzień zamroczył,
Potém przeżegnał z głębokiem westchnieniem,
Przypieczętował herbowym pierścieniem
I zamurować kazał dnia trzeciego,
Aż sto lat minie, czasu znaczonego —
I rzekł — to wnukom mojego prawnuka
Niechaj dojrzewa jak dziejów nauka,
A wieczór Silwę rerum gdy rozłożył,
Taki w niéj napis na końcu położył.
Jak wino w to co najświętsze się zmienia,
Tak niech wam życie cnota opromienia —
Lecz gdy (chroń Boże!) miałby wyrość który,
Coby postępkiem zdradnym, a wyrodnie
Skaził ten klejnot krwawy, co praszczury
Broniły życiem, lejąc krew na zbrodnie,
Niech czarnych zgryzot roztoczą go żmije,
Krew ojców niechaj win jego niezmyje,
Gdyby zapomniał, że tu ma Ojczyznę —
Niech mu to wino zmieni się w truciznę! . . .
Niedługo potém w Wielkanocnéj dobie
Pan Miecznik w Ojców położył się grobie,
Już go do boju surma nie przebudzi,
Aż trąba grzmiąca na sąd wezwie ludzi!
Wtedy Pan Miecznik, klejnot złotej księgi
Swą blizną błyśnie jako oczom wroga,
I wstanie jasny z sumienia potęgi
Swą appelacyą ponieść na sąd — Boga!

II.

WCZORAJ.

Trzeci paciorek na wieków różańcu
Spada we dłoni wszechmocnego Boga,
Krwawo minęły w dzikich bojów tańcu

W chwale narodu i pogromie wroga!
Pana Miecznika ród coraz w zasługi
Potężniał jasno — za każdą potrzebą,
I każden przodków chwały szereg długi
Pomnożył — idąc za ich kluczem w niebo! . . .
Aż przyszła czarna doba Targowicy
Choć, Baru, trzecim krew, odkwitła Majem,
Szatany skrzydła spętali orlicy
I naród rozdarł szatę za swym krajem!
Aż ci ku końcu na straszne dni sromu
Gdy trzy postronne sępy rozszarpały
Ziemię bezbronnych, bez chleba, ni domu
Pomordowały, albo w świat wygnały,
Wtedy wyrodził się jeden z Rodziny
Pana Miecznika — na hańbę spółbraci,
Co był — jak każden, kto w życia głębiny,
Nie spojrzy — serca długów nieopłaci . . .
Przez cudzoziemca chowan, bez rodzica
Zapomniał, życia używając chwilką
Że Austryacka exellencya tylko
Może tu zbłaźnić Polskiego szlachcica!
I kiedy kraj się szarpał śród rozpaczy,
Ku Bogu mrące wyciągając dłonie
I krwią, swych kajdan rdzę, co kroku znaczy,
Gdy szatan zasiadł mu na Ojców tronie;
Wtedy on strwonił w obczyźnie swe mienie
A imię ojców, najświętszą spuściznę,
Splamił przez podłe z wrogiem sprzymierzenie
I skaził rodną czoła swego bliznę —
I po rozbiorze kiedy kraj w katuszy
Ponuro zemstę śnił przy swych ogniskach,
A matki synów kołysząc do duszy
Wpajały pieśni o wielkich zwaliskach,
O chrobrych ojcach, mordowanych synach,
O wielkim Bogu co strącił szatany,
O dniu zmartwychwstań, gdy o jasnych czynach
W łby wrogów nasze strzaskamy kajdany,
Wtedy on — podły syn matki ojczyzny
Co się spać tylko w grobie położyła,

Żył z temi — co jéj zadali te blizny,
A których dłoni sprawą — jéj mogiła —
Wtedy On w dworze ojców modrzewiowym
Jak gad, z Niemcami uczty wyprawował,
Na wielkiéj sali z niemi biesiadował,
Żył tak, że hańby — nie zmyje krwi morze!
Aż dnia pewnego pod dworcem zgrzybiałym
W piwnicy pękła stara, zapomniana
Herbu pieczęcią oznaczona ściana
Z win starym skarbem, niewiadomym, całym —
I wbiegło wnuczę, wyrodne, zhańbione,
Do staréj pana Miecznika piwnicy,
Tam stały beczki pleśnią ustrojone
Nito siwizny mchem — w grobów ciemnicy —
I win prastarach, wystałe żywoty,
Co błogosławił Pan Miecznik przed wieki,
W życie — lub trucizn piekielnych zgryzoty
Jakby grzmiał jeszcze — głos jego daleki...
Wiwat! wykrzyknął blady młodzian głośno —
I furę Niemców zaprosił na łowy,
Potém na ucztę pijaną i sprośną
W dworzec prastary w dwór swój modrzewiowy!
A spadły kruki — i gawiedź pijana
Co gardzi zdrajcą — a święte spotwarza —
I młody dziedzic nalał z roztruchana,
I Niemieckiego pił zdrowie Cesarza!..
A jeden z Niemców hrabiowską koronę
Włożył na czoło o dziedzicznéj bliźnie,
Zhańbił orderem — i rzekł na obronę
Żyj ty Niemieckiéj, twéj nowéj ojczyźnie!..
A w wielkiéj, staréj, przystrojoniéj sali
Czterdzieści czarnych konterfektów starych
Ojców wisiało, co za kraj padali,
Orłom proch kości powierzając szarych!..
Lecz kiedy Hrabia wypił z roztruchana,
Czterdzieści twarzy wraz na ścianie zbladło,
Jak grzmot — czterdzieści konterfektów spadło,
O ziem! a młodzian — poszedł przed sąd Pana...
Upadł otruty w mękach i boleści,

A ręką tylko chwycił czoła bliznę,
I duch spodlony uleciał w bezcześci
Z wina — co Miecznik zaklął był w truciznę!
Skonał — a w sali jeszcze echo drżało,
Jak klątwa ojców co z ścian pospadali,
Rzucając brzuchy, sto Niemców się śmiało,
I mur popękał w Miecznikowéj sali —
Kto wrogom, w ojców zaprzedał się dworze,
Z czoła mu hańby nie zmyje krwi morze. . . .
Niech mu Bóg ojców za matkę odpłaci
Pogardą wrogów — i przekleństwem braci!

(w Zakopaném 1860.)

Ballada.

Był jeden z dworzan króla Mitrydata
Co króla uczył — nie truć się z trucizny —
Któremu pomsta Kwiryckiego świata
Była najmilszym balsamem na blizny —
Co dnia gdy słońce wstawało czerwone
Do słońca pił on jady tajemnicze,
Z wężowych wścieklizn, snute, zaprawione,
Przez krew dymiącą i perły dziewicze! . .
I raz czarodziéj przyszedł strasznéj próby,
Chcąc siły wrogów spróbować tajemnie,
Ze wszystkich trucizn dał mu napój zguby,
Co serce męża żrą — jak rdza nikczemnie!
O! ja zaręczam! — wyrzekł król ponury
Że ten ją strawi — jak my wrogów strawim —
I pierwéj padną przepaściami góry,
Nim jego trupa na nicość zostawim —
I on czarodziéj zlał wraz do pucharu
Wszystkie, zatrutych, wściekłe piany jadów,
Jad węży, pianę wścieklizny, nektaru
Kroplę, pająka oczy, trzewia gadów —
I żółć człowieka — ha! zlał tam boleści
Matki zdradzonéj — i młodość sieroty,

Niewdzięczność, zdradę, i utratę cześci
Zawód przyjażni — i zbrodni zgryzoty,
I zlał tam potwarz z obłudą spienioną,
Zawiść, i zemstę, co miała lwie blizny,
Kłamstwo — krew zdrajców, szlachetność splamioną
Ha! nawet, nawet — przeżycie ojczyzny!...
Wtedy dworzanin wziął puhar kipiący
Pian strutym dymem — i podniósł do słońca
Na zgubę Romy spełniam! zgrzytający
Szczeknął jak tygrys — i wypił do końca! —
Spełnił — i zaśmiał się śmiechem szalonym
Co rozdarł wargi od ucha do ucha —
Stojąc przed mistrzem bardzo zadziwionym
Z przekleństwem ludów ciężkiego łańcucha!...
Żyję!... zawołał — wielki Pontu, królu!
Zemsta im zemsta! a tobie bądź chwała,
A ją niech toczą wszystkie jady bólu
Lecz — tak, by skonać niemogąc — konała!
Wtedy wziął puhar mistrz strasznéj nauki
I jedną kroplę wpuścił — taką czarną,
Jak wszystkie noce, chmury, furye, kruki,
Co padła — jako gorzkie śmierci ziarno!
I rzekł: Ten jeźli spełnisz i przeżyjesz,
Toś jak Bogowie sami nieśmiertelny,
Lecz jeźli padniesz — gdy ten jad wypijesz,
Biada ci królu — zginął — z dzielnych dzielny!..
Porwał w swe dzikie pięści napój czarny
A tym napojem była podłość braci —
Połknął, zatoczył wzrok błędny — ofiarny,
Jak wąż się zwinął i już ducha traci!
Ciska się, ryczy — wyje jak pies wściekły —
Wszystkie trucizny wyssałem ustami,
Ta jedna — struła mój żywot zapiekły,
Żem chwilę — wzgardzić musiał rodakami!..
Skonał z boleścią na śmiejącéj twarzy,
A król Mitrydat rozdarł szatę swoją,
Twarz w płaszcz zarzucił — od Bogów ołtarzy
Grom zagrzmiał — nieba w płomienie się stroją.

(Pisane w Tatrach 1860.)

Przed burzą.

Héj! orlich skrzydeł matko naturo!*)
Héj! błyskawicznych nad światów światy!
Bo duch brzemienny gromową chmurą
Schnie, tęskny burzy — piorunowéj szaty:...
Matko słoneczna! o matko sieroty!
Z chmur twoich ssałem nektar życia złoty,
Szały me prządłem z twoich łón warkoczy
Miłość, z tęcz twoich piły moje oczy!...
I łzy tęsknoty — i iskry zapału
Tobie ja niósłem samotny na świecie,
Tyś szczątkiem jednym mego ideału
Co mi nie stanął w nicości szkielecie!
Kiedy tryskają łony zórz i słońca,
Kiedy się grom twój rozgrzmiewa bez końca,
Wtedy ja orlę uderzam skrzydłami
Z wyciągniętemi w górę ramionami!..
Wtedy objąłem — i kocham miliony —
Jak zwiędłe liście widzę ludzkie trony,
Wtedy ja płaczę i głową szaloną
W twe czarne skały biję zrozpaczony,
A jednak szczęsny, z myślą uskrzydloną,
Szczęsny bez końca! rozkoszą szalony! —
Oh! gdzie te światy — kędy te krainy,
Jasne — niebieskie — gdzie dusza stęskniona
Wionie skrzydłami lekka — zanielona
A pieśń drgająca w górę — łzą dziewczyny
Opadnie cicha tęczującą wstęgą —
A w jednéj chwili gromową potęgą
Zdolna rozpalić, porwać — zgnieść uściskiem
Całe obszary światów! jednym błyskiem
Całe przestworza ciemności rozświecić,

---

*) Pierwsza część tych poezyi pisana (z małemi wyjątkami) w czasie wojny Krymskiéj i po zawarciu pokoju, — druga część w r. 1864.

I odsłonione jasną światu księgą
Rzucić przed oczy Dawida pociskiem!...
Ha! grom twój każdy witam tu jak brata,
Druchem z daleka — i z innego świata!
Każdy ryk burzy pieszczę w mojéj duszy
Nieśmiertelności śmiertelność nie zgłuszy!
Słuchaj mnie dzika matko! o rzewna naturo!
Nie od ciebie ta ciemność ponad czoła chmurą!
Wiesz jak świat ukochałem! wszystkich w akkord ludzi!..
Bóg to pojmie — on jeden — co tu miłość stworzył,
Jak duch braci miłował, przed niemi się korzył
Jak szalał swą miłością aż się świat rozbudzi!..
I cichy — rzewny, tęskny — jak grób zmilkłem głucho,
Ale co tu drga w łonie — co się w muzgu pali,
Co bucha na dnie duszy — choć powieka suchą,
To ludziom nie spowiadać. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
Burzo kochanko moja! ty moja jedyna!
Tobie wierny zostanę — do dni wrących końca,
Póki ducha niezwolni twój piorun jak syna
I nie wyciągnę ramion! tam! do wszechsłońc słońca!
Tyś matką! co każdego mękę czuje syna —
Twe kwiaty lśnią już rosy drżącemi perłami,
Drzewa szepczą swój pacierz — schyla się ruina,
Jęk dzwonu leci w niebo — spotkan z rosy łzami!
W męki upadłbym szczęsny, padł w łono nicości,
Rzucę skrzydła — wyrzeknę się nieśmiertelności,
Ale niech wiem przynajmniéj — tém niech łzy osuszę,
Że podniósłem choć jedną — jedną Polski duszę!..
Że porwałem choć jedno śpiące w błocie serce,
I roznieciłem płomień, dławiony w iskierce,
O grajcie jeszcze gromy! tak mi dobrze zwani!
Pioruny bijcie jeszcze! rozgrzmiane o skały,
Wyście zaciętym ustom pociechy słowami
Z waszym rykiem cierpienia ducha wraz się zlały!
Ha! czuję w głębi jego potęgę miłości —
A wiecie wy co miłość? to Bóg! ona Bogiem!

Otwiera wzrok swój orli — i czyta w przyszłości!...
Ona odkupia zbrodnie królów i narodów
A czoło piorunowa pali jéj korona.....
Ale nieraz głaz śmierci widzi śród ich godów —
O strasznie bolą ludu mego krwawe rany!
Rzucam się — miotam piersią matko! o twe skały,
Znów ciemno — znów twe wichry — w chmurce rozszalały
Biada temu — kto w czucia upadł świat wezbrany...
Ale tam... tam... o! czuję arfą tęskną, wdowią
Tam zmartwychwstania znamię — to duch święty w bieli,
Idzie!.. ku ziemi — przed nim miłości anieli,
Ludy go konających skarg głosem pozdrowią!...
I padają przed blaskiem tłumy kusicieli —
On dotąd gołąb śnieżny — ha! na czoła ludy!
Spływa ku nam — on jasny — wielki — rąk tysiącem,
Tłumy szyderców padły przed męczeństwa cudy,
I rozgorzały piersi tchnień jego gorącem!...
O! duchu święty, przybądź jasny! wstań w tę ciszę
I ukołysz czego nikt nie ukołysze!
Ale przed trzecią dobą któréj dziś niegodni,
Niedaj nam usnąć podłym snem bezczucia zbrodni!..
W ciemnościach daj nam gromy zasług jasne, krwawe,
Niech w nas biją gdybyśmy w sen się kołysali —
Niech gwieżdżą na dzień przyszły oczy niewiast łzawe
A serca mężów w sobie niech zawrą to życie
Co błyska na bojowéj szczerbca, iskrą, stali,
W nich niech padnie jak ziarno przyszłe wieków dziecie
Byśmy w tobie — przez siebie samych zmartwychwstali!..

Widzenie.

O błogosławiona! błogosławiona!
Dusza co w zimy tkwiąc lodach,

Skajdanione, mdlejące, wyciąga ramiona
Ku wiośnie!...
I ogromem cierpienia w Tytana wrośnie
Których plemię posadą wstrząsa tu w narodach!..
Nad świata puszcze
Szatanów tłuszcze,
Z dłoniami na piersi białéj,
Idziesz o duszo,
Wielka katuszą,
Narodu, w pochód wspaniały!...
Za tobą idą duchy tych ludów,
Co pragną światła promienia,
Co zadumane wśród wieści cudów,
Boga zabyły istnienia....
O! i te ludy nowego plemienia
Z płaczącym śmiechem po gruzach przeszłości
Patrzą się w przyszłość oczyma miłości,
Wstrząsając pęta w ciemności!..
Ten tłum się dziką życia rozpaczą zasmucił,
Nad czarą, co mu stwórca od ust nie odwrócił!...
Ale ty z gwiazdą męczeństwa na czole
O błogosławiona! błogosławiona!
Ku wiośnie ludów wytężasz ramiona
Kamienowana w ciemności, padole!...
Lecz twym szatanom uśmiech przebaczenia
Jak kwiat rzuciłaś, i anielskie skrzydła,
Rozprzestrzeniłaś, aby z pod ich cienia
Pojrzeli w światów przyszłych malowidła!
I postać twoja zaklęta wśród dzwonów,
W pierwszym piorunie co na wiosnę spada,
W ostatni uśmiech, w pierwszą łzę co pada
W głębin wszechżycia ocean ogromów....
Idąc z przeszłości w przyszłość — patrzysz święta
O niepojęta — jasna!.. piekłem sklęta!..
Bo tryśnie światłość życia z twego łona
O! bo miłością słoneczna twa zbroja!
Słysząc zgorszenia niemowląt — i mordy
Miliony jęków sprzędłaś w arf akkordy
W krzyk jeden błogosławiona!...

W krzyk nieśmiertelny, źródłem z niebios zdroja
W grzmot surmy wieków — pierwszy i ostatni —
Zaparcia siebie — i miłości bratniéj:
Bądź wola Twoja!
A pod twe stopy przypadły straszydeł
Tłumy olśnione blaskiem twego serca,
I w cieniu twoich promienistych skrzydeł
Twą nieśmiertelność wył dni twych morderca —
I dusze mniejsze jako gwiazd tysiące
Zlały się w tobie po nocnéj ciemności,
Spadły łańcuchy — podniosłaś ramiona,
A lud twój idąc ku Bogu w miłości
Wołał: o błogosławiona! błogosławiona!..

Oda do wojny.*)

1854.

Palmo pokoju zwiędła na mogile,
Gdzie ciernie z róż pozostały,
O palmo! nie dla ciebie dzisiaj nasze chwile
Śmierci lub chwały!
Ty jasna, wielka jak anioł pokoju —
Wyrastaj kiedyś z gruzów co zostawią wieki:
Gdy w narodzie chwila boju
Wstanie! — lub zamknie powieki!
Wojno! przeklęta od matek!
O bądź nam błogosławiona!
Od zamków do nizkich chatek,
Chwyć świat w objęcie Samsona! —
Pod twym szumiącym sztandarem,
Zbiegną się niewoli ludy,
Upojone twym nektarem,
Błyskawiczne witać cudy!

---

*) Z błędami i niedokładnie dawniéj drukowana. —

Ludy te w pocie czoła ciche, rzewne,
Z krzyżem lecą w świat szatanów,
Lecą walczyć ogniste i swéj sprawy pewne,
Ciskać pioruny Tytanów! —
Przeleć nad krajem co dzwoni,
Pęt niewoli łańcuchami,
Błyśnij gromem twéj pogoni,
Aniele pomsty nad nami! —
Pod strzechami małych chatek,
W zamkach — myśl jedna natchniona!
Wojno przeklęta od matek,
O! bądź nam błogosławiona! —
Tu pokolenia, od słowa wstrząśnione,
Zawrzały — czynu potęgą
Zerwali się upomnieć o prawa zelżone
Nad przeszłości świętą księgą!
Daléj! — za tego orła słonecznym polotem!
Z duchami tych co legli na pobojowisku,
Niechaj ziemskiemu igrzysku
Niebo się stanie namiotem!
Wojno! wstrząśnij świat ten stary,
Niech młodości skrzydły wzleci,
Po stopniach zbiegłych stuleci
Niech bieży w krainę wiary!
Całe życie nasze burzą!
Błyskawicom gromy wtórzą,
Za chmur wieńcem słońce w mgłach,
Zmartwychwstaje w jutrzni łzach!
Przeciwności są falami —
Im burzliwsze, gwałtowniejsze,
Tem większemi łódź skokami
Dąży — po nad łódki mniejsze —
Nad skał czuby z nad fal prądu,
Do dalekich celów lądu —
Duch nasz szydzi z wrogów tłumu
Co tam ryczy groźb marami —
Strach niezaklnie dróg rozumu
Ludów!.. tylko torturami
Dzieci — i niewiasty mami.

W twe skorupy, pod twe dachy
Garści wzgardy, garści błota,
Pajęczyną twoje gmachy —
Twym początkiem wszech ciemnota! —
Nucąc pieniem Jeremiasza,
Świat nam czarę dał piekielną,
Pocałunek dał Judasza
I koszulę wdział śmiertelną!
Ducha wskażą bohatyry
Bogu szmaty
Z podłéj szaty
Dejaniry! —
Burzą! — nasze życie całe —
Cierń w serdecznéj drąży bliźnie,
Lepiéj strzaskać się o skałę
Jak ugrzęznąć na mieliźnie!
Jeźliś wielki, jeźliś dzielny,
Chwyć narodzie ojców miecze,
Za łbem Hydry niech piekielny
Tułów w piekło się zawlecze!..
A Bóg ojców nieśmiertelny,
Zanieli duchy człowiecze
Jak zszatanił podłe żmije,
Których myśl się w ciemność kryje!
Wojno! przeklęta od matek
Bądź od nich błogosławiona:
Od zamków do nizkich chatek,
W kajdanach brzęczą ramiona! —
Myśl, co na imię Polski powstaje w ojczyźnie
Jest słońcem co nam gwieździ z pod nocy namiotu,
Przeciw-truciznę waszéj stawszy się truciźnie,
Ducha wyzywa do lotu!
Zagrzmiała trąba do boju;
Wybiła chwały godzina,
Orzeł w piór jasnych ustroju,
Skrzydeł swych sztandar rozpina!
Do boju, dzieci do boju!
On przeszłość waszą wspomina! —
Schorzały świat ten padł w więzy ciemności

I w letargu nikczemności
Krew jego zakipiała! chce trysnąć żyłami —
Żelazo kajdan go rani —
Ale on silny po chwili milczenia,
Może ulecieć skrzydły boju archanioła,
Gdy błyskawica natchnienia
Hańbę strąci z jego czoła! —
Czysty jak Bóg co go stworzył,
Kwitnął naród wolny, dzielny,
Krzyżem szabli piekło trwożył,
Silny! dumny! nieśmiertelny! —
I wraz trzy się hydry zbiegły,
Orły z łbami podwójnemi,
Co nie mogły z nad téj ziemi
Oczu wnieść do słońca bramy,
Więc drogę słońcu zabiegły!
Białemu orłu — zbrodniami!
Ale biada gwałcicielom,
Co chcą zaprzeć wschód światłości,
W proch popadną i w ciemności!
A szatańskim w hołd weselom
Wzgardzon będzie pył ich kości,
Ust tysiącem przeklinany,
Padnie słaby i nikczemny
Pod pochodu słońc rydwany,
Jako piekła druch wzajemny —
. . . . . .
Jeden zbiegiem był szatanów,
Co przemocą bił, mordował,
Żywych w martwe groby chował —
Dość tu imię — Tarrakanów.
Dość Wileńskich dzieci głowy
Na ten obraz Herodowy!
Niech sybirskich wichrów jęki
Dośpiewają téj piosenki.
Druga hydra zaprzedajna,
Pełna fałszu i bluźnierstwa,
I szataństwa i oszczerstwa,
Dość tu — imię Wallensztajna! —

Jak Bizanckie wtóre państwo —
Dość tu rok czterdziesty szósty,
By katolickie oszusty
Wiekom stały za szatańskwo —
Trzecia hydra, proch nikczemny,
Krwią swych Panów się tuczyła.
Duch jéj podły — tam wzajemny
Gdzie na tronie Bożek: Siła.
Zszatanionych mnichów dziecię,
Zbrodnia cnotą — kał początkiem!
Machiawela wstań szkielecie
Zarumień się niewiniątkiem!
Wśród tych piekła istót krwawych,
Co trójcy niebios bluźnierstwem,
Upadł zdradą naród prawych
Między rzezią, a kacerstwem —
Dziś on wstaje niepomszczony,
Lecz już nie o pomstę wroga
Modlić jemu się do Boga,
On w ludzkości będzie mszczony!
Lud ten Boga dziś kapłanem
Pomiędzy ziemią -- a Panem!
I jak wyrósł z nikczemności
Tyran świętych krwią tuczony,
Tak runie z gór swych strącony,
W otchłań przekleństw i nicości. —
Polsko święta! Polsko w Bogu!
O! na Chrysta jasne rany
Po raz wtóry, z niebios progu,
Z twego serca strąć szatany —
Wojno! przeklęta od matek,
Bądź przez nie błogosławiona,
Ku tobie w pętach ramiona
Drżą z zamków i niskich chatek —
Wojno! przeklęta od matek,
Dla wspólnej matki natchniona,
Chwyć świat w objęcie Samsona! —
Wstań archaniele! nad sennych głowami,
Przeleć jak niegdyś, by na twe wspomnienie

Ożyły ludy te zbrojne gromami,
Co biegły w ogień — jak tęczy promienie!
Naprzód ducha Prometeje! . . .
W piersiach z wulkanem młodości! . . .
Wyżsi nad losów koleje,
Naprzód! ducha Prometeje!
Wy spadkobiercy — przyszłości! . . .

ODA.

(Po zawarciu pokoju Europejskiego 1856).

Chcą głębiéj ziarno wdeptać do ziemi
I. Sz.

Idzie, idzie, dziejów Bóg. —
I. Sz.

Narodzie mój!
I tyżbyś zwątpić miał? . . .
Narodzie mój!
I tyżbyś zwątpić chciał? . . .
Narodzie mój!
I tyżbyś zwątpić — śmiał?! . . .
Tyż zdrojów zdrój
Miałbyś zabić twe źródło
Że tu wszystko ochłódło? . . .
O przebóg! nie o! nie!
Tam czartów, Carów głos —
Tu ciężkie kuszenie
Co dziejów Bóg z niebios
Dopuszcza! . . .
Niech szatańska tłuszcza
Z téj jeszcze ciemności
Korzysta wszystkiemi
Zabiegi nocnémi,

Niech całe piekło przeciw nam powoła
My całe piekła powołane zbawim
A na ich grobach łańcuchy zostawim
I oto miecze mściciela anioła!
Na całej ziemi dzisiaj błędnym ptakiem
Jest człowiek który śmie się zwać Polakiem,
Ale nad Bogów dumny i wspaniały
Zrodzon w kajdanach — lecz wirze do chwały,
I w pętach stoi na wolności straży
A Car ni szatan — zasnąć się nieważy! . . .
On spadkobierca męczeńskich rycerzy,
Co wyrósł tylko tém — co tutaj boli,
Sierota dziejów, w świętych aureoli,
On jeszcze świadczy — że jest Bóg — krwią wierzy!
A kiedy wrogi ściskają mu pęta,
Z litością patrzy — on duch — na zwierzęta! . . .
Polsko nie z łaski ludzi zgromisz wroga,
Wstaniesz przez siebie — wielka córa Boga —
Lecz jak miłości dziełem każdy cud,
Lecz na gwiżdżący w nocach kopalń knut,
Wszystko dla ludu! i wszystko — przez lud! . . .
Acz długi ciszy dzień,
Ludu! orléj trzeba siły,
By strącić ten głaz z mogiły,
I światłością zabić cień! . . .
W strasznym bolu, na śmiecisku,
W trądach Job na pośmiewisku,
Od najbliższych wyszydzony,
Zapomniany, opuszczony,
Wśród Europejskiéj Sodomy!
I w wielki męczeństw dzwon
Uderzy Boga grom! . . .
A straszny będzie świat
Wśród błyskawicznych szat —
Zaryczą trzody pól
I zbrodnia zrodzi ból!
Co matkę własną zgładzi
A światłość w dom wprowadzi! . . .
Piekło wszystkich tyranów niech dobywa mocy,

W dym Abla całopalny lećcie pieśni wiary,
O! niepuszczajmy z dłoni Dawidowéj procy,
Abraamów się spełnić niewzdrygniem ofiary! . . .
Lecz — gdyby nawet Boga
Ha! strącano z niebiosów,
Gdybyś widział śród głosów
Burz tryumf piekieł wroga
Gdybyś widział jak spada
Z niebios Bóg twój strącony,
Jak nad ludów miliony
Wpadła czartów gromada,
Czybyś niebo dla Boga
Nie szedł, odbić od wroga? . . .
Narodzie mój! . . .
I tyżbyś zwątpić miał? . . .
Narodzie mój! . . .
I tyżbyś zwątpić chciał? . . .
Narodzie mój! . . .
I tyżbyś wątpić śmiał?
Narodzie mój?!! . . .

(*Kraków.*)

Ecce terra!

Propozycye przyjęte . . . i t. d.
(Depesza z 18. Stycznia 1856).

Brise tes ferres, tu le peux: si tu l'ose . . .
Beranger.

I.

Oto przed tobą nędzna Europo
Stąpa niewiasta, którą wstecz popchnięto,
Tajono dzieciom, imię co jéj wzięto,
Lecz w pętach naprzód! idąc, dzwoni stopą —
O! ty ją dobrze znasz — ty . . . Europo!*)

*) Słowo Europo! użyte tutaj w miejsce jakiegokolwiek hańbiącego wyrazu, z których żaden temu niezdał nam się dorównać.

Choć tych co o niéj potomnym mówili,
Pomordowano, jak o grób Atylli,
Twarz jéj dziś blada, zbita, splugawiona,
A skroń Chrystusa krwawi jéj korona,
Niezmarła dotąd, choć co dzień umiera
Według was ludy — ludy! — Ecce terra! . . .

II.

W on czas — spętane, jak psy wściekłe cary,
Przypadły łbami do Polskiego tronu,
W on czas — brzmiał odgłos śmiertelnego dzwonu
W Wiedniu, gdy Turcy naszli grody wiary,
W on czas — się lizał hołdownik krzyżowy
Zdrajca pokątny, pochlebca tronowy,
W on czas — dymiła krwią — Somo Syerra,
Jak ongi Warna! — ludy! — Ecce terra! . . .

III.

Dziś, tron, co Polak z pogardą pchnął nogą,
I niesiadł na nim dla ojców swych wiary,
Ten sam tron dzisiaj też zasiadły cary,
I Europę napełniły trwogą . . .
I tenże Wiedeń, krwią naszą zmył ręce
A cios do ciosów przypadł ludu męce,
Gdy mu najświętszy skarb szatan wydziera,
Mowę ojczystą — ludy! — Ecce terra! . . .

IV.

Ten sam dziś zbójca zaokrąglił boki,*)
On oberwaniec z Zygmuntowskiéj sfory,
Dziś zasiadł pysznie w godne siebie wzory
I szydzi, widząc krwi ofiar potoki . . .
Taż Francya dała nam uścisk Judasza,
Gdy tłumy wrzasły Turka Barabasza! . . .
A z Polską na krzyż! z nią cnota umiera,
Lecz nieumarła jeszcze. — Ecce terra! . . .

*) Système d'arrondissement . . .

V.

Więc trzeba zabić téj krainy — ducha?
Gdy ciągle zrasta się rozdarte ciało,
A wtedy — wtedy, prawo runie cało
I chętniéj knuta, szubienic posłucha! —
Niechaj rozdarta, w trzy cześci, związana,
W ogniu, konając, choć uczci bałwana . . .
Lecz płomien więzy — cielesne pożera —
A chór wzlatując śpiewa: Ecce terra!

VI.

I nieraz nocą kiedy tyranowi
Lub, w gabinecie z myślą pełzającą,
Gdy, dyplomacie, przed oczy, szpiegowi,
Zjawi się — niema choć nad grzmot dział mówi . . .
To w przerażeniu jak głupstwa lawinę
Na poprzedników walą zbrodni winę,
A postać krwawa co tu nieumiera
Lecz żywa — niknąc woła: Ecce terra! . . .

VII.

Kiedyś u stoku lat — po wiekach wielu,
Nad grobem świata, trąba archanioła
Zagrzmi sumieniem — i na sąd powoła
Ciebie ludzkości — świecie, przyjacielu? . . .
Jak wy staniecie tam — ludy! jéj katy? . . .
Co się odziawszy w szat jéj lite szmaty
Wołali na nią — że naga — umiera! . . .
A chmury duchów krzykną: Ecce terra!

VIII.

I staną Polscy Lewici duchowni,
I staną Polscy rycerze polegli,
I staną wieszcze, co jéj mogił strzegli,
I męczennicy nad piorun wymowni,

Matki niemowląt — krew siostr — matek, braci,
I Baru zbudzą się konfederaci,
Sobieskich hufce, — w głos co nieumiéra
Nad trąby sądu zagrzmią: Ecce terra!

IX.

Głos odgrzmi: syn mój tak stał przed katami,
Tak cierpiał za was!... nad wasze mogiły,
Tak ona potém boskiéj pełna siły
Na krzyżu córa ma Polska, cierniami
Memi wieńczona była, gdy się zdało
W waszéj radości już konać jéj ciało
Wyście grób żywéj — ryli — w krzyk: umiera!...
Zyje, sądźcie się sami — Ecce terra!

X.

A więc o Polsko z litością boleści
Tym się uśmiechnij, co twéj śmierci wieści,
Głoszą — niech młodzież w ciszy sobie dłonie
Poda, niewiasta, niemowlę na łonie
Niech uczy co to Polska! — na to słowo,
Lud orłem zerwie się — krzyknie grobowo:
Matko!... głaz strąci skąd dzień już wyziera
I wstanie na świat — cudu nowa Era!...

XI.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
A ty — ty pomóż deptać nędzną stopą
Bezbronnych — pogręb — łotrów Europo —
Niech się w zwierciedle tém twarz twa przeziera
Nim Ci Nemezą ryknie: Ecce terra!...

Na śmierć Mikołaja.

I runął w proch nasz szatan. Cóż po nim zostało?...
Pycha zbrodni — i popiół — więcéj nic? litości!...
Tyle serc odetchnęło . . . i poweselało,
Jak gdyby szatan runął już w własne ciemności —
Skonał — własnych posiewów owocami struty,
Skonał — a więc przebaczmy, módlmy się za wrogiem,
Niech ludzkości nadgrodzi Bóg za nasze knuty.
Tylko Polska modlitwa może mu przed Bogiem
Pomódz! — módlmy się dziękcząc za śmierć swego kata!
A za nim — bo ostatnim był z nędzarzy świata . . .

Piołunowy hymn.

Po gromach burzy, po nocach zwątpienia
Wstajesz o jutrznio w ciszy majestacie,
I nad sennemi głowy pokolenia
Ciskasz grom wiary w szkieletów postacie.
Panie! o Panie! przyjdź na dzieje w niebie,
Cisnij grom ducha po nad śpiącem ciałem,
Krzykiem narodu głos woła do Ciebie,
Po strunach arfy zgrzytnąłem kindżałem . . .
Panie! o Panie! wołam Ciebie z rana
Krzykiem mej duszy, młodości zapałem,
Jam lud mój kochał piersią pelikana
Więc jady żmiji z nóg jego wyssałem! . . .
O! ssałem matki przygwożdżone stopy
Ręką szatana przykute okropnie,
Krew jéj rzucając w oczy Europy
Lud mózgiem ducha mąk swych znaczył stopnie!
Pojrzałem w górę — a niebo tak czarne,
I tylko jedna — jedna nocy chmura,
A na jéj tronie straszydła poczwarne
Apokalipsy bestya mórz ponura . . .
Wtedym się porwał potężny boleścią

Co po mych strónach uderzyła kuntem,
I gwóźdź wydarłem z nóg jéj — a z bezcześcią
Stałem nad świata sprzechniałym Mamutem!
W obszarach świata wyła dzika burza,
Jak dęby rosły, padały narody,
Ale się we krwi zbłoconej świat mazga
Tocząc na Baala babilońskie gody . . .
Ach! a na imię i krew Zbawiciela
Takiego ludu jak mój tu — niebyło!
Głosy Hellady — Romy — Izraela
Przeburzmiały w wiekach gdzie tylko „Ja!“ żyło...
Lecz lud mój duszą! . . . cierpieniem wszech ludów
Nim niezachwycić się? . . . do jego cudów
Miłością nieoszaleć? . . . gdy anioły
Tam na sąd, z urny płyną przez żywioły —
I każdy anioł kładł przed oczy Pana
Tę popielnicę jasną świętych kośćmi,
A lud mój duchem był ziemi kapłana
Uniesion w ogniach po nad świata złościmi . . .
Panie! o Panie! słyszysz głos tułaczy
Co niezapieją jeno jak przysięgli,
Acz mrą codziennie w nędzy i rozpaczy
Bo z swego łona świt ducha wylęgli . . .
Grom odkupienia upadł w jego łono,
On porwał kulę téj ziemi w ramiona,
On ją przycisnął do wieszczego łona
I rozgrał — piersią na krzyżu skrwawioną! . . .
O duchu Święty! iskro zmartwychwstania,
Spłyń! o spłyń skrzydły orlicy białemi
W gromów odgłosach — w pośród ziemi drgania
O! boś ty! orłem białym naszéj ziemi! . . .

Duch.

Duch jest orzeł, co na szczytów skale
We mgłach porannych czeka na wschód słońca,

Widzi nad ziemią płynące chmur fale,
Zielonych sosen szum, zdrój co się strąca
Z urwiska w otchłań — lecz milczy i czeka,
I czasem skrzydłem strzepnie dziko, hardo,
By w śnie mu wąż piór niesplótł i z pogardą
Słucha natury głosów — bez światłości
A orlém czuciem tęsknoty człowieka
Przeczuwa światłość — czarnością ciemności . . .
Aż kiedy wejdzie na gór szczyty słońce
W niém gasną gwiazdy, i chór ptasząt wstaje
Kiedy w dreszcz ranny rosę strzęsą gaje,
To orzeł skrzydeł swych rozwiéwa końce,
Wzbija się — wzbija — chyżo! chyżéj! chyżéj!
Coraz to śmieléj — wyżéj! coraz wyżéj! . . .
Aż całą piersią rzuci krzyk radosny
Co żeni dzikość swą z rzewnością wiosny,
I w piorunowych skrzydłem płynie łónach,
I budzi iskry w chmur śpiących piorunach,
I błyska mieczem — i sercem tak gwieździ —
Że aż na sercu u stwórcy się gnieździ —
Wtedy z gwiazd każda siostrą jemu bywa,
A on choć zawsze smutny, i sierota
Serce ma wielkie — jak niebiosów wrota
W łzach swych ludzkości stopy, z prochu zmywa . . .
I nieśmiertelność jedną tylko śpiewa! . . .
Wtedy wiosłuje w bezgranic błękicie
Jako w rozwartéj piérsi stwórcy — dzieci! . . .
Lecz jeźli hydra w nim wylęgłéj pychy
Stworzy w tém łonie samolubstwa piekło,
Ha! wtedy własną strącon żądzą wściekłą
Spada — i kąsa skrzydło białej Psychy!
I lecąc wielkie rozprzestrzenia skrzydła
Co upadając słońce przysłanają.
I lecą — jako piekielne straszydła
Aż runą — tam! zkąd bólem zmartwychwstają! . . .
Bo imię jego była ludzkość cała —
Co w nim w jednego człowieka skarlała . . .
A morze śpiewa lądom — burzy pieśń zdziczałą
O duchu, w skałę tłukąc — konając pod skałą . . .

Synowi Polski.

(Do I. Pr.)

Napotkanemu dzisiaj na życia rozdrożu
Daję dłoń bratnią — jutro rozstanie się ciało,
Obyśmy kiedyś czuli na śmiertelném łożu,
Że życie nasze marnie tutaj nieprzebrzmiało! . . .
Żeśmy we wszystkie bolów, rozpaczy godziny
Kochali Polskę czynem, jako wierne syny,
Kochali z tém namiętném, z tém żelazném trwaniem,
Miłością — która w części jest już zmartwychstaniem!...

Córce Polski.

(Do H. S.)

Świat jest smętarzem uczuć i nadzieji,
W górze zwycięztwo! lecz tu — walka niema,
Trzeba w pochodzie tym siły olbrzyma
Idąc samotnie, wśród losów zawieji! . . .
Idąc samotnie, sieroco wśród świata
O Polko! pomnij, że masz we mnie brata —
Sierót braterstwo wiąże grzmot piorunów
Co biją w serce z jasnéj ręki Boga!
Syte ojczystych goryczą piołunów
Ale miłością mszczące zawiść wroga! . . .
Gdziekolwiek będziesz, Chrystus będzie z Tobą,
Bo on twe skronie otoczył żałobą,
O! bądź szczęśliwa! . . . takiéj cierń korony,
Ma lud na męki krzyżu wyniesiony!

Odłamy *)

POZOSTAŁE Z ODY NA ŚMIERĆ ADAMA.

Król umarł! przebóg, cóżto wyrzekłem
rycerze? mógłżeli umrzeć ten?

Orzechowski.

Sunął się anioł śmierci po nad światem,
Co szatanowi niegdyś bywał bratem —
I tak na wieczność po nim się zasmucił,
Że go w anioła śmierci Pan obrócił,
Sunął się anioł śmierci z kwefem czarnym
I brał po drodze wszystko — co ma życie,
Wielkiém, i małém, miłosném, ofiarném,
Brał jako kłosy — i tonął w błękicie . . .
I leciał smutny, leciał bez spoczynku,
Od wschodu słońca do zachodu słońca
I był tak blady jako w upominku
Ostatnia róża dama — a więdnąca . . .
I płynął cicho od ludzi do ludzi,
Każdemu musnął pocałunkiem czoło,
A kogo dotknął — ten się już niezbudzi
I leciał dalej, po nad ziemskie koło . . .
Każdem się z ludzi lękał jego lotu,
Lecz kiedy wieszcza pozdrowił wygnańca,
Sneżnemy — ramiona dał mu, pomazańca,
I z nim popłynął do gwiazd kołowrotu! . . .

* * *

A ty niemo Polonio rozedrzyj twą szatę,
I pierwszy raz upadnij pod krzyżem z boleści,
Bóle takie niemają słów w języku ziemi
Aż w sobie odszukają nieśmiertelną stratę! . . .
Tylu synów już łzami poświęciłaś groby,
Ale tu — kamieniejesz boleściami — Nioby!

*) Fragmenta.

O wy obce narody! jakiéjkolwiek ziemi
I was Pan sądzić będzie według ducha cześci,
Szanujcież jéj majestat z piersmi przebitémi,
Bo z wszystkich majestatów największy ogromem
O ludy!... jest majestat — majestat... boleści!...
A dom życia przyszłości gdy niewoli domem
I wielcy giną jako suchy liść bez wieści!...
Kiedy obłok żałoby takiej na przestrzenie
Padnie! o! za nim musi iść już przesilenie!...
On był jak Nil! co rozlał ducha swego wody
I użyźnił w niewoli spragnione narody,
Pęknij arfo! i zagrzeb ślad twojéj swobody!...

* * *

My tu sierot jękiem, łzami,
W Ducha popiołach z żałobą
Ludem się modlim z tobą,
A tam!... twéj pieśni głosami,
Adamie! módl się nami!...
Czarno, jak wśród orląt koła
Gdy wódz swą głowę położy,
Lud płacze jak rojem pszczoła
Gdy straci ulu królowę!...
W boleści milczym grobowo
Lecz łzami duszy, krew pada,
Nie płaczem — wyjem! o! biada!
Po tobie Polska dziś wdową...
Gdy przy mieczu Kościuszków składasz bardon twój
A na ziemię swą zlewasz błogosławieństw zdrój,
O! pobłogosław ją twoją boleścią
Niespowiadaną... cichą... ludu wieścią!...
Lecz się w narodzie te rany niezgoją,
Aż wolny, ziemią przysypie Cię swoją!...
A gdy na wieków przeminionéj fali
Lud Polski będzie iść na sąd ostatni,
Ty z lutnią wodzem, wstaniesz wierze bratniéj,
I ku Golgocie zawołasz: „tam stali!“...

List z Warszawy.

(Do L.)

(Roku 1858).

Żądasz — wyprzędę wszystkie méj duszy wrażenia
Pająkiem, między czarne kolumny wspomnienia,
Co się budują z życia pojedyńczych ludzi,
A stają tą Walhallą narodu, co budzi
Sen lwa, wskazując gwiazdę zmartwychwstania chwały,
Że lecą, gdzie szlachetne żądze ich powiały . . .
Powiem — com czuł — com widział — gdziem serce zakrwawił,
Com napotkał, com dumał, pokochał, zostawił,
Bez paszportum się przekradł między Carskie zbiry
W miasto — (choć cytadele, za to i Sybiry),
Czytałem w księdze dziejów — żywéj — murowanéj,
Łzami matek ochrzczonej, krwią młodzi pisanéj,
Któréj widok zadziwia, zasmuca i cieszy
Że w piersi tętno coraz szybszym ruchem spieszy
Zadziwia wesołością a smuci przypomnieniem,
Czasem cieszy — że jeszcze niewszystko jest cieniem,
Że niewszystko wygasło — i w popiołów dymie
Tlą iskry, z których błyśnie narodowe imie —
Lecz wesołość Warszawy, jest dzisiaj, niestety!
Uśmiechem obłąkanéj, a pięknéj kobiéty,
Zasmuca swém weselem, w kir wspomnień owiana,
I tém straszna, przerazić mogłaby szatana!
Znać ślady co na licach boleść wydeptała,
Znać, że na skon swych dzieci po trzykroć patrzała,
A ta boleść co serce w piersi rozsadziła,
W dziki śmiech obłąkania dziś się przetworzyła,
Kto wesołość Warszawy pustą nazwie wrzawą,
Ten niepatrzy w jéj serce, niezlał się z Warszawą,
Wesołość jéj jest dzikim zrozpaczenia szałem,
Jest tańcem Indijańki nad lubego ciałem,
Co wzrokiem swym namiętnym wita stos radośnie,
W którym w dwie chmury dymu z kochankiem się zrośnie,

Wznieś się ptakiem nad miasto, spójrz pod wszystkie dachy,
Wszystkie kółka i warstwy i domki i gmachy,
Nieraz gorzki Ci uśmiech przez usta przeleci,
Nieraz czarne wrażenie myśl skopci, oszpeci,
I wyda Ci się Wielkiéj Warszawy — szkieletem —
Z świątyni Bożéj, Turka nieraz, minaretem,
Ale niech jedna iskra padnie w te ciemności,
Ta jedna Ci rozjaśni horyzont przyszłości,
A ten ogień zapału (który strawi Cary)
Da Ci znak, że w jéj łonie śpią wielkie pożary
Co zapłoną jak wulkan, pochodnią ofiary . . .
Ulice długie, świetne i ludem wezbrane
Płyną smutno, jak groby, świeżo pobielane,
Gdyby nie bruk, którego każdy kamień prawie
Jest ołtarzem ofiary, co krwawo i łzawie
Odprawiała się nieraz męczarń podrzutami
Wrzała walką, nadzieją, chwały promieniami! . . .
Noc była — księżyc leciał pomiędzy chmurami —
Stałem sam — dnia całego znużon wrażeniami,
O Kopernika posąg oparty, słuchałem
Gwaru miasta, co cichnął jak morze. — Patrzałem
Na popiersie Staszyca, co groźném obliczem
Zdało się mówić: byłem czemś — a jestem — niczém!
I w myśli szczeblowałem towarzyskie koła
Kolejno — jak je tworzy stolica wesoła,
To co arystokracyą mieni się z niechcenia,
Jest parodyą arystokracyi, cieniem cienia,
Niema samodzielności, nawet salonowéj
Bo dziegieć cię zaleci na sali balowéj,
Jest jak dywan z odwrotnéj położony strony,
Amalgamat Francuzki z Angielska sklecony,
Piękne, strojne kobiéty, czy w balowych strojach,
Gdy na Paszkiewiczoskich „brylują“ pokojach,
Czy w wietrznych amazonkach, w ustach z cygarami,
Czy nawet, gdy się mienią być literatkami —
We wszystkiem są kopiami, bez typu własnego,
Zwykle na Warszawiance, (choćby najlepszego

Tonu), znać że niejeden keepseak wertowała,
I że niejedną porę w lustrze studjowała,
A z arystokratyczną swéj dumy postacią
Mogłaby być w francuzkiéj książce illustracyą! . . .
Czyli się sielankowo za żniwiarkę stroi,
Czy nawet w kokoszniku książąt niepokoi —
Przydzie czas gdzie z przybranéj dzisiaj francuszczyzny,
Drwić będą, jak dziś z pudrów drwim młodéj siwizny
Młodzież, jeźliś ciekawy, szukaj jéj w Łowiczu,
Na wyścigach, gdy panicz przy strojnym paniczu
Jako folblut angloman, bieży w pośród wielu
Do wyścigów — (trudnego, szlachetnego celu)!
I jest jako „i“ małe, spanoszałe zero,
Co kropki potrzebuje, żeby być literą —
Patrząc na téj młodzieży złoconéj tłum Pański
(Jako na kosz butelek bateryi Szampańskiéj)
Widzisz że tu tak samo Car swój cel szatański!
Osięga, jak w Kijowie — by młodzież rozhulać,
Zwątpić — i oślepioną na zawsze ululać —
(Tylko mu się w Kijowie powiódło mniéj zręcznie
A i w Warszawie diabeł nie śpi stutysięcznie)!
Dalej świat salonowy — pyszne tam bankiery,
A bankiery Warszawskie — to są dromadery,
Które wędrując pawiem, z podniesioną głową
Zdradzają, że choć mają garb, to na tym garbie
Jest skarb niewyczerpany, a w onym to skarbie
Młodzież gasi swych pragnień i potrzeb tysiące
I spija liczne zdrowia, w kielichy brzęczące —
Na zielonych stolikach wsławia przodków imię,
Aż w kieszeni lichwiarskiéj ruiny się imie — —
Lecz idzie naprzód z miną podbijacza Feba,
Aż grzęźnie w niedokwasie powszedniego chleba . . .
Lub z wełną — rezonując o najwyższéj szkole
Agronomicznéj, rzadko na zielone pole
Przeniesie ulepszenia z zielonego stoła,
Stąd summa jak dziesięciu zer wziętych pospołu,
Że zawsze trzeba jakiejś cyfry przed zerami,
By się stały setkami, albo tysiącami . . .
Najzabawniejszy salon — gdy pod hasłem sztuki

Ogłosi jaki wieczór — wtedy pod nauki
Sztandarem — aż strach pójrzeć! że uczonych tyle
Sfinksy, lwy, orły, nawet — nawet krokodyle! . . .
Z uśmiechami litości, dla téj reszty świata,
Zadowolnienia z siebie — co jak puder wzlata,
I dzwoni od toastów za zdrowie wielkości,
(Lecz nie za nieśmiertelność! ta w gipsach nie gości)!
I takiéj to zapewne przyjrzawszy się sprawie
Rzekł Adam sławne swe: „I to jeszcze z Warszawie!...
Ale już się odwróćmy od tych licznych gości,
Z latarnią trzeba szukać serca, coby biło
Cicho, rzewnie i skromnie, pod pracy mogiłą,
Z której duch zmartwychwstaje dla oka spółbraci,
Tylko wtedy gdy duchem dług ducha wypłaci! . . .
Szczeblem niżéj (a raczéj wyżéj) między témi
Których zwą średnią klassą — między uboższemi,
Są tam bogatsze serca, i dusze ognistsze
Więcéj woli — i dumy — i sumienia czystsze,
Tam młodzież co pokrewna, duchem z Belwederem,
Co czuwa chociaż milczy — a zabaw eterem
Nieusypia swych cierpień, lecz wśród ognia próby,
Przez zgubę się wydziera z strasznych ramion zguby —
W ciszy, lwim szpikiem dziejów karmi swe umysły,
I myśli ciche zwierza cichym falom Wisły! . .
Tam przy biórach, po białych kancellaryi salach,
Biją serca poczciwe w urzędu koralach. . . .
Co gniotąc ostrzem, jak psa legawego szyję
Przypominają młodzi, że jéj tyran żyje!
Nieraz tam widzisz syna, co z takiego bióra
Żywi rodzinę, matkę starą żywi, która
Błogosławiłaby go, gdyby dziś wybiła
Godzina czynu, któréj wczoraj świadkiem była,
Tam matki pamiętają dni te smutnéj chwały,
Kiedy ojców i mężów ojczyźnie oddały,
I ci, z ludem poczciwym, ludem Kilińskiego
Stanowią iskrę żnicza, życia Warszawskiego,
Tam spotkasz imię szlachty, z krajem, zubożałe
Z nim zgnębione poczciwie, choć niegdyś wspaniałe,
W pracy napotkać można honor nieskażony,

Imię, z jakiém się rzadko dziegciowe salony
Spotykają, bo wśród nich rzadko imię dawne
Spotkać, cnotami wielkie i dziejami sławne —
A wśród tłumu tych kilku ludzi z zasługami
Z pracą i wytrwałości długiemi latami,
Migają się z staremi w sercach swoich hasły,
Jak gwiazdy — które widać — gdy lampy pogasły!...
O! Warszawa — to księga zapisana cała
A w niéj tylko ostatnia kartka jeszcze biała,
Trzy momenta przed okiem strasznie ci ożywi —
(Stara cecha zatarta co cię nie zadziwi)
Gdzie te wszystkie postacie, co zda się że wczora,
Chodziły — i tak przeszły jako cień upiora!...
Najprzód wiek osiemnasty — z całą potwornością,
Z swą bachancką prywatą i mumiowatością,
Żywcem wszystkie postacie! po Saskim ogrodzie
Przejdź się myślą, a wszystkie spotkasz w ich pochodzie —
Te ulice kasztanów! lipy w szum odziane,
Po których przechodziły się te pudrowane
Postacie — wszystkie, jakby z jednego ulane!..
Tu chadzał Naruszewicz, Krasicki, Karpiński,
Trębecki i Węgerski.... a późniéj Feliński,
Zda Ci się spotkać wśród nich chmurnego Staszyca,
Z Kołłątajem, cnót tylu publicznych rodzica,
Tu postać Konarskiego, a tutaj Sołtyka,
Tam znów Małachowskiego myśl rzewnie spotyka,
Daléj w myślach Niemcewicz, i przy nim Kopczyński,
A pochód ten zamyka ojcowski Brodziński —
I lampa cicha, ale ciągle gorejąca
Klementyna, co wraz z nim w narodzie idąca;
Więcéj zdziałali w dwoje dla ludu nauki,
Niż wszystkie przyjacielskich towarzystw peruki!
Tu Kościuszko w samotnem chadzał zamyśleniu
Za swą lubą w młodzieńczem smutny utęsknieniu,
I swą miłość, pokorny, swéj nieśmiertelności
Nieznając dał na ołtarz ojczyzny w cichości....
Kiliński tędy butnie powracał z kościoła,
Gdzie lud ten drogi płynie — jak do ula pszczoła,

Tu szalał książę Józef, i radził Dąbrowski
Tu się złamał Chłopicki — oby był niedożył!
Tu Mochnacki Kassandry protestacyą złożył
Wskazując Litwę!.. oby! mądry doświadczeniem
Naród chwycił tę drogę z przyszłem przesileniem,
W tych cieniach chadzał nieraz może pełen troski!..
Lelewel, spokojnemi jak Nestor krokami,
I Śniadecki tu z Wilna zabłądził czasami —
Ach! tu błądził Mickiewicz, marzący i młody
Szarpany przez peruki, bo miał własne włosy,
Tu wzrastał smutny Zygmunt — dziecię bez swobody,
Rosnące jako kwiatek potrzebą w niebiosy,
A dzieckiem się wpatrywał już w swoje kolosy...
Tu Juliusz mu na ramię może oparł czoło,
I byli jak schylone dwa nad łanem kłosy....
Szopen tu się w harmonje wschłuchiwał natury,
Malczeski tutaj smętny dumał, i ponury,
A od placu Saskiego wrzaski musztry brzmiały,
Carskie bydlę nad ludźmi tutaj się pastwiło,
Na koniach przez bagnety młodzieńce skakały
Kiedy ich matek serce, jak u Tella biło,
Tu Kraszewski, z prawdami, co kolą, wystąpił,
Za co mu świat goryczy, ni trucizn nieskąpił,
I cóż, że naród potém przy posągu płacze?
Kiedy bić już przestało serce, co tułacze,
Cóż że uczczą po czasie miłościwe słowo,
Choć posąg im odbłyśnie łzą swą marmurową,
O! lecz nie łzą wdzięczności, ni łzą rozczulenia,
Ale łzami goryczy chyba i zgorszenia,
Bo nad trucizn potwarze, i jadów bluzgania,
Czary dopełnia właśnie — ta chwila uznania!...
Bo po kamienowaniu, na cichéj mogile
Niech im świat choć oszczędzi tę uznania chwilę,
Bo za nią, kto był czysty i duszę miał hardą
A męczeńską, ten za nią — płaci chyba — wzgardą!..
Daléj ku Willanowu idąc śród pałaców,
Potockich i Krasińskich, Zamojskich i Paców,
Wszedłszy w długą aleę pełną publiczności,
Napotkałem żebraka, zgiętego z starości,

Trzęsącym mówił głosem, jak zwierciadło troski,
Byłto — jeden z ostatnich! żołnierz Kościuszkowski!..
Brał jałmużnę — i mówił drżącym głosem: dzięki!
Lecz niedał mi swéj drżącéj ratować ręki. ...
Ach! a owe Łazienki, gdzie dzisiaj dla Cara
Pałac i letni teatr, (jak Szatańska fara),
Z daleka wstaje biały pałac pełen wdzięku,
Jak gdyby czarodziejska różczka w króla ręku
Chwycona, gmach uroczy wzniesła z wód zwierciadła,
W którém jego kolumny drżą jak nimf widziadła,
Niewyparła by go się Wenecya królowa,
(Szkoda, że tyle gorzkich wspomnień w sobie chowa!)
A milczące łabędzie żeglując w krysztale
Śnieżną piersią łagodnie prują ciche fale —
W koło ulic cienistych zielone sklepienia —
Ale ten co tu szukał ochłody ich cienia,
Nieczuł jéj ani chwili wśród swego sumienia!
Szkoda, że pół téj pracy mózgu królewskiego,
Co łożył na łazienek prześliczne ustronie,
Nieoddał na ratunek kraju tonącego,
On go mógł jeszcze dźwignąć z rozpaczliwéj toni,
Lecz on najochydniejszym z nędzarzy, wieku swego
wzorów,
Bo za zbrodnie spełnione, podłością słabości
O! niewart nieszczęsnego narodu litości,
I niech tam! śpią niegodne Polskiéj ziemi kości!
On krzyw krzywdy narodu! czuł ją, i rozumiał
Że winien zejść ze szczytu, kędy stać nieumiał,
Co więcej niewieściemu ufał szatanowi,
Niż ofiarom narodu! niż braci ludowi! ...
Rzuć zasłonę na smętne te życia błazeństwa,
Ach! bo on niewart nawet — narodu przekleństwa!..
Błądziłem po królewskich komnatach samotnie,
Widząc chwile ubiegłe, strasznie, niepowrotnie,
Zewsząd czarne wspomnienie zdrady wyzierało,
I swoje: „mane tekel“ po murach pisało,
Jak Targowicy echo brzmiało gdzieś przedemną,
A każden głos się zdał drgać: Litości nademną! ...
Te ściany marmurowe, tak gładkie i chłodne,

Jak postacie co wśród nich stąpały pogodne,
I śmiejące, gdy naród odżegnywał wroga,
A Bar krwią appellacyą zaniósł przed tron Boga!..
O! piękne te komnaty szeregiem bieżące
Dziełem dłuta i pędzla wspaniale błyszczące,
Pyszna sala posłuchań z posągów grupami,
Apollo marmurowy tam zachwyca oko,
I Herakles ponuro podniósł pierś szeroką,
Tam sala czerwonemi wsparta kolumnami,
Gdzie obiady czwartkowe brzmiały tak wesoło,
Gdzie fontanna dowcipu grała brylantami
A król nim najbogatszy, jak paw co w około
Pyszniąc się, piękny ogon wspaniale roztoczy,
Lecz z krzykiem go opuszcza, gdy swe nogi zoczy...
Gdy się śmieli, lud w pocie krwawym chylał czoło!..
Belletrystycznéj piany było tam bez końca,
I ludzie ich mienili za rozumów słońca!...
A jedyną zasługą muzgu królewskiego,
Że zasługi ocenić umiał Konarskiego
Tam sala Salomona (ironio nauki!)
Bacciarellego dzieło wymuskanéj sztuki
Daléj łaźnia królewska i popiersie króla,
Tam płaskorzeźba dziewcząt w naiwnéj nagości
Lejących wodę w wannę króla jegomości,
W końcu — Carska kaplica podobna do ula
Co parforce przyczepiona swemi sklepieniami,
Kapiąca złotem i krwią, jak carów cnotami!
Ha! a z boku sień biała, co z piekła ironją,
Tak się zgadza z łazienek królewskich harmonją,
Dwa posągi w niéj stoją — tu: Mars requiescens,
A obok drugi to: Polonia reflorescens!...
A od strony przeciwnéj wznosząc głowę hardą
Sobieski ku téj stronie pogląda z pogardą,
Milczy jak skamieniały, narodu boleścią,
Nad tym pięknym pomnikiem, co przed skonu wieścią
Jak piramidę sobie król August wystawił
Któraby go przeżyła... Ten co Wiedeń zbawił
Raz tylko zdał się ożyć w blaskach nocnéj lóny,
Lóny Listopadowéj, co chrobre pioruny

Zbudziła w piersi ludu który męztwem słynie.
Który nigdy niezginął — i nigdy niezginie!..
Kiedy młódź Belwederu posąg otoczyła
Twarz się jego od świateł blasku rozogniła,
Zdał się ożyć! znów gotów do wielkiego dzieła
I wołać z orlętami: Jeszcze niezginęła!...
O! chwilo boska! chwilo! niema równéj tobie
Jak gdy dzieci w kajdanach na swéj matki grobie
Jak chmura orłów wpadły: i śmierć tyranowi!...
Krzyknąwszy wypłoszyły gad tyranij sowi!..
Przy niéj blada w zapale krucjat armja cała,
Kiedy: Na Jeruzalem! jako lew ryczała,
W obec tych kilkunastu orłów poświęcenia,
Co na hydrę Moskiewską padły śród natchnienia!..
A za niemi lew naród — ryknął przebudzony,
Lud młody byłby wroga, zapałem natchniony,
Odepchnął — i przerzucił za dziesiąte morze —
Gdyby nie starców słabość... zwątpienie.. o Boże!..
Oni garściami święty zapał roztrwonili,
Gdy na gwałt młodzi w serca jak we dzwony bili —
O! cześć, cześć, waszym włosom siwizną zbielałym,
Ale na naszą wiosnę szronem nie spadajcie,
Biada ludom w powstania chwilach zolbrzymiałym —
Co gdy ryczą: o! wodza! i broni nam dajcie,
Dają im tylko zwątpień gorycze trucizny,
I słabością swą sądzą — potęgi ojczyzny!...
Chwilo! ty równéj nie masz — nie będziesz miała,
Aż cię przypomni Polska z grobów zmartwychwstała,
(O szkoło podchorążych! Kościuszków posiewie)!..
Jakeś wielką, prócz Polski, nikt na świecie niewie,
I gdyby nie Chłopicki z dumną nieufnością,
Co zmroził, stérał, zapał piorun nazwany młodością
Ha! i gdyby nie zdrady szatańskie potwory
Polska byłaby wzorem dziś, nad ludów wzory!...
Całe pasmo twojego poświęceń powstania
Pasmo Tytanicznego, z mocą passowania,
Choć nieszczęsne, już wielkie przez nieszczęścia same,
Bohaterstwem już chwały zdobywają bramę!...
Widziałem plac ten Saski! ten ołtarz ofiary,

Jak w cyrku Rzymskim bestye, tam pamiętne Cary,
Kędy się tygrys pastwił nad bólem kobiety,
Kędy młodzież sadziła konno przez bagnety,
Aż pod ziemią wstrząsały się ojców szkielety!
A ten sam krwawy tygrys, jak każdy despota,
Kiedy Belwederczyki wpadły w zamku wrota,
Tchórzliwy, nogi w strzemie ucieczki nieumiał
Włożyć!.. nad wspaniałością ich potém się zdumiał
Że za tyle okrucieństw któremi spodlony,
Wolno, z życiem i mieniem został wypuszczony!...
A z nim wojsko wraz z bronią! (o! pożal się Boże!..
Naród wtedy dobrocią obraził cię może)!..
I plac ten stał się polem chwili uniesienia!
Gdy lud zrzucił swe jarzmo, syty udręczenia,
Tu tłumy w krzyk radości wspólnie się witały,
Bracia ściskali braci, wszystkie dzwony brzmiały,
Lecz niebawem niestety, wśród siwych głów pleśni,
Grzmiał Mochnacki Kassandry głosem o! naprożno!
Bo układy ugrzęzły w biednych czaszek cieśni
Kiedy jak jeden człowiek naród wołał broni!..
Prowadźcie nas!... i Polska krwi swéj będąc dłużną
Stała — jak ożywionéj kształt zemsty pogoni!..
Ha! i spełzły ich plany nieszczęsne, (choć prawe)
Aż wojska Cara przyszły — szturmować Warszawę!
A Litwa i Podole, Wołyń, Ukraina,
Zostały — jak gdy matka niewspomni na syna!
I dzisiaj — na tym placu — (horror!) stwór zielony,
Carski obelisk, orłów szponami strzeżony,
Na nim jak Baltazara wyryte głoskami
Słowa najbezczelniejsze, którychby szatani
Zrumienili się na dnie swych piekielnych toni!..
Przyjdzie czas, gdy lud z ziemią zgładzi pychę carów
A w tém miejscu powieje szum wolnych sztandarów!
Z tą myślą, do Warszawskich przeszedłem kościołów,
Dzwony brzmiały tęsknoty chórem śród żywiołów,
Tu święty Jan we wspomnień zasoby bogaty,
Niemi smutny, jak czarne pogrzebu makaty,
Te portrety biskupów z zimnemi uśmiechy
Od których miało powiać w lud słowo pociechy,

Ten Małachowski sztywny, człowiek marmurowy,
Nie ten wielkiego serca mąż, i wielkiéj głowy,
Ale jest tam ustronna i ciemna kaplica,
Gdzie przed ukrzyżowanym lampa wciąż przyświeca —
Tam niejednéj łza Polki, cicha wśród ofiary,
Spada, tam się niejeden żali żołnierz stary...
I kiedy się zaduma, wsparty na swéj kuli
A nad losem ojczyzny w bólu się rozczuli,
To patrzy po za siebie czy gdzie szpieg nie słucha,
Ty z krzyża nań poglądasz — stwórco ludzi ducha!..
Daléj Świętykrzyż, piękny, poważny i cichy,
I stare Bernardyny, a tam! karzeł pychy
Świętego Aleksandra, świętość zeszpecona,
Kędy Car chciał swojego sam uczcić patrona,
Arcydzieło Moskiewskiéj myśli, mistrza chwali,
Jak Izaak*), wśród trupów stawian i szakali...
Z takim płodem się spotkasz na świątyni progu,
Ile razy Car kościół, chce wystawić — Bogu! —
Warszawa, w tych kościołach modli się w Niedziele,
Potém w ogrodach swoich dzieli dnia wesele,
I wylewa za miasto po Wilanów stary,
Lub na Bielan uroczych Majowe obszary,
Aż hucznie zabawiona, prostym rzeczy biegiem,
Powraca — na Powązki, pokoleń szeregiem —
Sunie tam pieszo, konno, czyli karet biegiem —
To epilog Warszawy — życia codziennego
Tam odszukasz z znajomych, przyjaciół, każdego,
O! wy smutne Powązki! ileż chwil minionych,
Spoczęło pod darniną tych mogił zielonych!
Ile tu serc żywotne zakończyło bicie,
A niejedno dla Polski, młode padło życie!..
Wśród krzyżów i posągów, w lesie kolumn tylu,
Wśród fal mogił, za tobą, goniłem motylu!..
Motylu! ty mnie wiódłeś, z grobu na grób świeży,
Tu starzec, tu dziewczyna, tu niemowlę leży,
Lecąc z kwiatka na kwiatek, siadłeś gdzie szukałem!
„Autorowi Maryi“ napis wyczytałem!...

*) Ś. Izaak, kościół Petersburgski.

Zgasł bez wieści — to sławy jego głaz węgelny
W sercu każdego ziomka, na znak nieśmiertelny!...
Tak cicho na Powązkach, że w téj ciszy słyszę,
Każde tchnienie, którém się pierś kwiata kołysze,
Tylko drzewa coś szumią — lecz nie pieśń żałoby!...
Dziewczęta z cichą piosnką polewają groby,
Gdzieniegdzie jakaś postać odziana w żałobie
Westchnie, klęcząc na drogiem sercu swemu grobie —
I znów cicho — tak cicho — że w téj ciszy zdoła
Duch dosłyszeć pieśń przyszłą zmartwychwstań anioła!
Słońce spada w nurt Wisły nad Pragi murami
Jak aureolą tak ją wieńczy promieniami,
O Prago! czaro krwią dymiąca aż do Boga!...
Prago! wieczna pochodnio wśród sumienia wroga,
Milczysz jak Jeruzalem — a cisza straszliwa
Nad grom wymowna z niebios mściciela wyzywa,
Gdy się tak modli ziemia od Pragi do Baru,
Cóż po niéj szatanowi, Moskiewskiemu Caru?
Tyś lasem palm zasługi! najdroższych cmętarzem
Patrząc po tobie nic się nie widzi prócz cienia
Co stoi z mieczem drzącym ze krwi i płomienia,
I każden kamień tutaj męczeństwa ołtarzem,
A w górę uleciawszy ze krwi orły stare,
Wśród chmury w niebogłosy krzyczą: Exoriare!..
Tu się modlić o zemstę — nie można! za święto!..
Bo ich pamięć tu sama przez siebie przeklętą,
Tu — klęknąć — do ust grudkę ziemi swéj przytulić,
I matce, dziécię we łzach, gwiazdami utulić
A potém w niebo rzucić tę garść świętéj ziemi —
I rzec: odpuść im Panie!.. lecz nas rozwiąż z niemi!
Jeźliś nieczuł — w téj chwili, czém Polska, poczujesz
Pierś wzniesiesz — żeś Polakiem Bogu podziękujesz!..
O Warszawo! ty Niobo! coś nieskamieniała!..
Choć na skon dzieci twoich tylekroć patrzała,
Coś w płomieniach i krwawym padła czoła pocie
Pod krzyżem, poraz drugi wzrosłym na Golgocie
Ale wśród zgliszczów, trupów i dymów pożaru,
Nigdy się tu naprawdę nie skłoniłaś Caru,
Ty wstaniesz jak orlica z pęt twoich powicia

I nad wszystkie narody rozegrzmisz pieśń życia!
„Wtedy ręce wyciągniesz ku matce boleści
„I w hymn dzwonów się chorał przeleje niewieści,
„A męzka dłoń twych synów, nad ojców grobami
„Odgrzmi o tarcze czynu, mieczów akkordami!“

* * *

Tak miotany myślami, szedłem wśród milczenia,
Miasto już było ciche — noc pełna natchnienia,
Wulkan płonął mi w piersi — biada mojéj głowie!...
Aż ją wsparłem o marmur — w Jasnéj Częstochowie —*)

Podzwonne.

Jak wam dobrze o ojcowie!
W marmurowych waszych trumnach,
Gdy pokoleń karle mrowie
Po grobowców tam kolumnach
Pełznie małe, słabe, trupie,
I rozumem cudzym — głupie!
Jak wam dobrze o ojcowie!
Śnić tak cicho po cmętarzach,
Gdy wróg trując matki zdrowie
Po najświętszych jéj ołtarzach,
Ofiar podłych kłamne dymy
Pali cielcom, wraz z Kaimy!..
O! jak dobrze wam ojcowie,
Śnić snem twardym po mogiłach,
Kiedy dzieci w cudzéj mowie,
Przemieniają krew w swych żyłach,
Kiedy kupców naśladują
Albo katom — nadskakują!..
O! jak błogo wam ojcowie,
Śnić snem wielkim w waszych trumnach,
Gdy pokoleń plemię wdowie

---

*) List ten jest odłamem osobnéj całości, mającéj na celu opisać podróż po kraju od morza do morza.

Na grobów waszych kolumnach
Wśród rozpaczy trzaska czoła
I o pomstę dziko woła!
Ha! jak dobrze wam ojcowie
Na tych zasług spać wawrzynach,
Gdy z wulkanem, w sercu, głowie,
Duch sierocy śni o czynach,
I na matki krzyżem grobie,
Sam się szarpie w swéj żałobie!...
O! jak święcie wam ojcowie!..
Lecz za waszą przeszłość całą,
Z bohaterstwa dumną chwałą,
Którą ledwie pieśń wypowie,
Garstka nasza, w mąk przestrzeni
Swego dzisiaj — niezamieni!..
W pętach czuwać tu orlemi
Ziemi swojéj Tytanami,
Matki cierpiąc boleściami,
Zmartwychwstając paść w swéj ziemi,
Lwy, w lwiéj jamie wymordować,
I świat w mękach umiłować!...
A więc śpijcie o ojcowie,
Pokolenia kołysane,
Łaską gromu, krwią posiane,
Mają — co się nienazowie,
Lecz co, dokąd pozostanie
Choćby jeden, — zmartwychwstanie!...

Sambor 1857.

Król i dwór.

Król jegomość przetarł oczy,
Jeszcze drzymie w puchów łożu,
Już go tłumny dwór obskoczy,
Jak Delfiny okręt w morzu,
Kiedy burza niedaleko
I chmur zgraje już się wleką....

Bonjour panie Senatorze
Jak tam wieje dziś na dworze?...
Czy pogoda proszę Ciebie?
Ni jednéj chmurki na niebie!
Słońce świeci w wspaniałości,
Jak twarz króla Jegomości! —
Ależ Panie Szambelanie,
Coś tam huczy gdyby w ulu?..
Ale najjaśniejszy Panie,
To lud za twe zdrowie królu
Za apetyt, sen się wszystek,
Modli — niedrży żaden listek!...
Co to za grzmot mój podczaszy?
Dzwonią okna, aż mnie straszy,
I odważny królów wzorze
To z dział biją tam na górze...
Za twe długie panowanie —
Ależ właśnie — jest śniadanie..-
Ależ o Mości Panowie!
Być nie może! sam obaczę,
Toż mój dwór pogodą zowie?..
Snię czy widzę? toć jak baczę
Wyje wichrów moc szalona
A! tam burza rozjuszona!..
Nic to królu... jako burza
Przeciw Bogu, przeciw tobie
Rewolucya tłum zachmurza,
Ale z dział gdy palniem sobie
Wszystko znikło... w czci, miłości,
Wita króla Jegomości!...
Toć dwór pewnie lepiéj wiedział,
Musi cisza być na dworze —
Przysłyszało mi się może....
Spuszczę okno! niepowiedział,
A grom jasny z wysokości,
Palnął w króla Jegomości!..

Na porwanie Szamyla.

Czy zgasła gwiazda nad Kaukazu szczytem?..
O! nie bo ludom walki, nieśmiertelność,
Choć niewolników zgraja psim skowytem
Radośna, chce ci stłumić ducha dzielność!
Orle! choć może siwą głowę twoją
Do bram przybiją na postrach niewoli,
Tyrani ciało, meducha rozbroją
A pomści ciebie lud górski, sokoli!...
Tyś zasiał ludu piersi zemsty skrami,
Co ciągle wstawać będą pożarami,
I wiele razy kukułka zakuka*),
Lud za broń porwie — z nią wolność odszuka!
Każden dźwięk kajdan twych, w sercach tysięcy
Echem współczucia zawsze się odbije,
O! wiele ludów kajdanami brzęczy,
Ale niewielu Szamylów dziś żyje —
Olbrzymie woli, niewolą wzniesiony!
Ta zgraja mrówek, co dziś lwa roztacza,
Drżała jak jamnik przed orlemi szpony,
Serc wielkich tysiąc, po tobie rozpacza.
Po tobie szumią dziś Kaukazkie bory,
Zdroje grzmią żalem, i Czerkieski wyją,
Lud twój Cię pomści w wolności oazie,
W którą natury żywioły go skryją!
Wielki po bolu, Annibala bracie!
Przyjdzie czas kiedy twojemi pętami,
Lud strzaska czaszki tych, co w majestacie,
Dziś krwią się mażą, śpiąc nad kraterami!
Na polskiéj arfie łza błysła po tobie!
Szamylu! bracie! po niewoli druchu,
Wspólna przysięga na Ojczyzny grobie
Wiąże nam serca w niewoli łańcuchu!

*) Głos pierwszéj kukułki jest Czerkiesom hasłem do boju — wtedy każdy rzuca cichą robotę zimową i idzie w las, łączyć się zbrojną gromadą.

Ten sam wąż, który Polski Laokoona
Opasał w sine niewoli pierścienie,
Ścisnął i dzieci jego białe łona
Niech żyją! więksi nad własne cierpienie!..
Skry ducha ziarnem w tych górach rzucone,
Które posiałeś z okruchów twéj stali,
Wdeptane głębiéj tylko — nie zniszczone!..
Trysną, ku niebu, tym, co je zasiali!..
Tyś był jak słońce co choć spada w góry
Nazajutrz nowém trysnąć musi kołem,
Cześć bohaterom ludów w dzień ponury,
Wielki, nieszczęsny, czołem tobie! czołem!...

Wiersz

(pamięci F. L.).

Są dusze które przez ten świat przechodzą,
Jakby stworzone za innych cierpienia,
Z gwiazdą miłości w nienawiściach brodzą
Wśród żmii z uśmiechem jasnym przebaczenia —
O! są komety serc ludzkich na ziemi,
Co niepojęte i niezrozumiane,
Przechodzą życie szlaki tułaczemi
Same — wśród szyderstw w ból napiętnowane —
Lecz za potwarze, urągowisk ludzi
Goreją sercem i płaczą nad niemi,
I póty biją w serce, aż się zbudzi
Głos, co podnosi człowieka od ziemi,
O! takim duszom, na téj ziemi — biada!
Bo wśród szamotań życie im przepłynie,
Bo je otoczy na ich miłość — zdrada,
Uśmiech na usta — o żadnéj godzinie
Niewróci więcéj.... Ale takie dusze
Wyższe nad poziom!.. jak lampy w grobowcach
Choć niby giną w świata zawierzusze,
Jak płomyk w nocy obłędnych manowcach,

O! przebóg — lecz są zestawione z światem,
Jak Małgorzata, święta, Rafaela,
Z swéj dziewiczości cichym majestatem
Depczące śmiało — hydrę kusiciela,
I choć się wścieka w podrzutach piekielnych
Ona z swą palmą stąpa tak spokojna
Jakby po kwiatach — w swą niewinność strojna
A szczęsna, tylko, przez szczęście śmiertelnych!
A nad nią zkądsić szumi głos „wybrani!..“
Idźcie ludzkości przewodem kapłani!
Jak piekło huczy stary bór sosnowy
A białe duchy suną się po niebie,
A wiatr szamocze włosem siwéj głowy,
On tak szamotać — targać będzie — ciebie!..
Ciebie coś kochał i konał z miłości
I niemógł skonać — bo nadto kochałeś,
Ty spadkobierco... dalekiéj przyszłości!...
Co dziś i wczoraj z piersi oderwałeś,
Życie łzą jedną — tylko przepłakałes!...
Idź! idź! lecz idąc pomnij tylko jeszcze
Że raz poszedłszy, choćby piekieł dreszcze
Zarły Ci łono, choć w piersi z popiołem
Z goryczą w sercu, i w muzgu z rozpaczą
Iść trzeba! kędy gwiazdy koléj znaczą!..
Iść — choć na żadną tak niecierpim ranę,
Jak kiedy skarby czucia zmarnowane!..
Ale tam gwiazda wciąż naprzód koczuje,
A duch człowieka — nic tu nie marnuje!...

Na wieść o śmierci Zygmunta.

Ciebie opłakać — głos człowieczy — niepodoła! —
Chyba Bóg w arfę zstąpi z słonecznego tronu,
Bo zasłaba dłoń sama, pieśni archanioła,
Choć grzmi ból w duszy, jak grzmot po szczytach
Syonu!...

Ciebie opłakać — ha! ci co to płaczą po tobie,
Są jak dzieciątka małe przy posągu Nilu,
Tobie milsze łzy ciche, co na kwiatach tylu
Zastanie słońce wschodząc, w Polsce na twym grobie!...
Polska jest twoim grobem — a nadgrobkiem słońce!
Z twą śmiercią śmierć nam chyba serca tu oswoi,
W których duch twój żyć będzie w swéj proroczéj zbroi,
Dokąd Polska jest Polską po stuleci końce....
Ale z osierocenia już się nieukoją
Strony — bo takie rany nigdy się niegoją!..
O! gdyby duch twój nawet swą arfę nastroił,
Ran po tobie — o! samby nam już nie zagoił! —
Coś cierpiał — czuł i tworzył dla niewoli ziemi,
Lud twój dziś prawie niezna lecz oczy łzawemi
Ujrzy — jutro a wtedy w dali pozna Ciebie,
Ciebie — coś własne piekło zaklął w Polski niebie!
Coś jéj przez siebie samą zmartwychwstać przekazał
I był „piekłem miłości!“ jakoś słowem wskazał....
Lecz mgli się mętna powieka!..
Rajski kwiecie w światach lodu,
Tyś niemiał duszy — człowieka —
Ty miałeś ducha — narodu!..
A przeto naród w wiekach opłakać Cię może,
Cichą — i głośną skargą — jak w przestrzeniach morze!
Słyszałem krzyk ten straszny — szalony — bolesny,
Piekielniejszy od piekieł wrzasków zrozpaczonych,
Co wypadł z grobu Polski — jak piorun przedwczesny
Zdał się gromem zmartwychwstań — i krzykiem wskrzeszonych...
Ale straszniejszym akkord lamentów téj ziemi
Był po tobie w niewielu serc dzikiéj rozpaczy,
Polska łzy swe jednemu, z ostatnich tułaczy
Święci... tobie najdroższe z dzieci jéj — orlemi
Skrzydły cień błogosławieństw rzuca na sny twoje,
I woła na wszeświaty: takie syny moje!..
Ty jeden jéj śpiewałeś o dniu zmartwychwstania,
Kiedy jak strona drżała na krzyża Golgocie,

Z czarnéj nocyś jéj stworzył promienie świtania,
A twarz jéj z całą missyą — męką — w krwawym pocie
Odbiła się w téj pieśni jak Liban wspaniałéj,
Jak twarz Boga — na chuście Weroniki białéj!...
Jeszcze łzy krwawe błyszczą na jéj licu białém
Łzy po wielkim Adamie — niezgasłe niezwiane,
A tyś uleciał duchem chrobrym, zanielałym
Gdy na ziemi twe pieśni zostały — zbłąkane....
O! więc płakać po tobie — nie!.. niewczesne żale,
Lecz w twe imię się porwać całą ducha siłą,
I z potęgą boleści — iść naprzód! — zuchwale
W przebój drogą ofiary, znaczoną mogiłą...
Słowo twoje rozsiewa się już w Polskiej ziemi,
I niedługo się życia objawem zapleni,
I ożywi nadzieją, wielkich, z rozpaczonych,
I w strząsnie z snu karlego nikczemnie uspionych,
A kiedy Polska z tobą — jak zdzieckiem nałonie
Stanie przed Bogiem — w wieku męczeńskiej koronie,
Zleci anioł zmartwychwstań — on oczekiwany,
Wielki jak słowa twego — grom w czyny przelany —
I wtedy duch twój zerwie się między narodem
Jak Irydion z snu wieków — naprzód — pogna przodem!...

Dla czegoś smutna duszo!

PSALM.

Dla czegoś smutna duszo! co cię boli?
Jakich chmur brzemię opadło twe czoło?
Bo tylu braci widzę tu w około,
A każdy dźwiga swe jarzmo niewoli!...
Bo widzę przeszłość pełną wielkiéj chwały,
I lud któremu dano upaść marnie,
Któremu tylko pamątki zostały
I wiara w przyszłość — na ducha męczarnie!...

Gdy człowiek przeżył — co tu przeżyć może,
Przebolał wszystkie najkrwawsze już blizny,
Nic tutaj niema — prócz wiary — jak morze,
Bezdennéj, wielkiej, w przyszłość swéj ojczyzny . . .
Więc kiedy spotkam brata, co ma serce,
Kiedy przeczuję jaką chrobrą duszę,
To go w objęcie porwę — i uduszę
Raczéj, niż oddam na łup, gdzie szyderce —
Toć brat mi każdy — potęgą! miłością! . . .
W objęciu jego — szaleję! topieję! . . .
I żyję znowu — narodu przyszłością
Co z za krwi, ofiar, łez, chmur — mi się śmieje! . . .
O Boże! któryś dał mi taką duszę,
Co pierś rozsadza, w podrzutach wściekłości,
Daj mi gorycze — wszystkie ich katusze,
Lecz niech ich widzę — wierzących — w przyszłości . . .
O! wierzę silny mą wiarą bez końca,
Żebym się pozwał — i zgruchotał światy!
Słońcami nowe pozapadał słońca
I ludzkość odział w ideału szaty . . .
Wierzę bez końca — w ciemnościach, zaćmieniu,
Za nim duch wieku mąk różaniec zliczy,
I wołam lecąc po twych gwiazd sklepieniu,
Dzięki Ci ojcze! za kielich goryczy! . . .
Choć pada dusza pod gromu przemieniem,
Z twarzą co oko przerazi szatana,
Zrywa się chwili nowéj uorleniem
I w arfę mieczem uderza: Hozanna! . . .
Wielka jest przeszłość mojego narodu,
Lecz stokroć większa przyszłość tu go czeka,
Po zmartwychwstania snach, walkach porodu,
Lot nieśmiertelny — do Boga! — z człowieka! . . .
I gdyby dziś już Bóg kielich odwrócił,
W którym krew naszych męczeństw dla ludzkości,
Lud by się niemą żałością zasmucił
Że stracił palmę wszystkich dni przyszłości!
Choć szatan kusi z trucizną zwątpienia,
Choć wróg nas gorszy, spotwarza i dręczy
W piersiach Bóg naszych brzmi arfą sumienia,

Co nad grobami męczenników jęczy —
I choć nam żywot lawą męki płynie,
Choć całe piekło walczy z bezbronnémi,
Czujem, że Polska przenigdy niezginie,
Dokąd Bóg w niebie — z nas jeden na ziemi!
Coraz to wyżéj duchy jéj się stroją,
Coraz potężniéj grzmi z narodu łona,
A po nad ziemią biali święci stoją,
I Polska — w córę Boga przemieniona! . . .
On jéj na skronie złożył własne ciernie,
Duch święty z nią na krzyżu cierpi srodze,
Aż zmartwychwstała — odniesie je wiernie
Z światem zbawionym na swéj męki drodze! . . .

Na bluźnierstwo E. Renana.

Bóg żyje — tylko umarł w mędrców duchu!
Mickiewicz.

Młot Ci podać i gwóźdź — lecz mniejszych niźli te, rozmiarów
Jakich dłoń Żydów żylasta do krzyża użyła męczarni,
A dzielnie przykuwałbyś stopy zbawiciela twego —
Szkoda tylko, że pióra twojego subtelnym, w powietrzu,
Nad głową najświętszą, zwieszona, zbolatą, za takie bez- cześci
Zbrodniami tu świata, niezdołasz pociągiem, równie jak
Silniejsze, co nie co, umysły przeszłego stolecia,
Zatrzeć aureoli Bóztwa, któréj fosforu, ludzki
Chemiczny rozum niepatentował na aureolą tu Boga!
Gdyś zgorszyć chciał tyle, bez gruntu religij trzcin chwiejnych,
Między tobą a żydami, co stopy skrwawione postępu
Do swych rozumów nędzoty drewianej przygwozdzić
Chcieli tu krzyża, — ta tylko różnica że słowa:
. . . . „Niewiedzą co czynią!“ . . . .
Do Ciebie stosować się niedadzą! . . . to téż promykiem

Swiatłaś ni ciepłaś nieogrzał czytelnika duszy
W nikczemnych hipotez ją wsteczne cofając pogaństwo!
Toć w waszéj kościele cywilizacyj, gdzie w zwątpień rozumie,
W podejrzeń, oslepłéj, zmysłowéj, wszechgłupstwa lawinie
W nim zamarł już Chrystus bez zmartwychwstania, i tylko,
Pogańskiéj allegoryi cieniem, jak upiór uznany,
Powszedniego chleba zmysłami materyi, działanie.
Mistrza!... toć zimno — i ciemno!... a chyba oświeci ją
Mistrz jéj ostatni a razem podpalacz — Antychryst!...
I wtedy się karli wasz rozum, przed zbawcy postacią rozyspie,
Gdy chaos materyi zgniłéj załaknie serca! przez
Konserwatywnych instynktów, bestyalny tu interes!...
Smutek i hańba nad duchem, co historycznie
Uznaje skutki, a dojrzeć niezdolny przyczyny!...
I dojrzeć niemogąc, uwierzyć niezdolny by ujrzeć!...
I przeto dzieciątka odziéra z ich wiary, co przeklną go,
Gdy stwórce swojego przez szkiełko swych nędzot rozbiéra!
Zgorszeniem dziś chleb ich zatruwa! Ludzkiemi sposoby
Bóg ludzi nadgradza! — To dzieło swą karą straszliwą!...
Niech zwątpią na chwilę — a stan swój obaczą, gdy ludźmi
Dokąd im w pomoc niewróci mistrz jasny miłości!...
Postępem bez końca, w bezgranic wieczności, religia,
Ale w religii niema postępu — bo ona jest wzorem,
Zkąd ludzie odbiegli w prywatę materyi i błota,
A ona! wolnością — i miłość w niéj szczytem mądrości!

Na zawarcie konkordatu Austryi z Rzymem.

(1857.)

Przekupnych kardynałów bez serca i wiary,
Co sromocą ołtarze najświętszéj ofiary,

To jest wińcem! . . . a pióro którém podpisane
Układy, we krwi naszéj niedawno maczane!
Smutno! bo niema komu świecić nam sztandary!
Gdy tam cyfrą Chrystusa, tego świata książe,
Pieczętuje — rzecz, której Chrystus nierozwiąże! . . .

Do braci.

Ciężkie jest życie na téj świętéj ziemi,
Kędy tak dobrze w mogiłach popiołom! . . .
Kędy tak trudno wiać skrzydły orlemi,
Kędy tak smutno cierpienia aniołom! . . .
Tak rwie się dusza, do pieśni, do lotu,
Tak targa serce, w piersi, do wawrzynu,
I śledząc tkacza u gwiazd kołowrotu,
Składa swe dłonie do modlitwy czynu! . . .
Rozpacz oplata wężem skrzydło wiary,
Czasem od niebios tryśnie błyskawica,
Nad głową senną zaszumią sztandary
Za wolność ludów . . . i błyśnie orlica,
I wtedy duch się z wulkanów boleści
Zrywa, wybucha! leci do gwiazd proga,
Męką się modli — całą ludzkość mieści
W piersi młodzieńczéj — i nie przeklnie wroga! . . .
Hej druchy bracia! na pożary słońca! . . .
Śpicie jak w grobach? w groby tłukę czołem!
Gdy śpicie zimnym snem do światów końca,
Niech szpony pieśni pobudzą was kołem!
Sokoły pieśni! lećcie przed ich oczy!
Krzyknijcie jedno — to ostatnie słowo:
Polska! . . . dla któréj krwi się morze toczy,
A w niém niewola tonie trupią głową! . . .

Legenda.

Sinite parvulos venire ad me! —

„A ktoby zgorszył jedno z tych, lepiéj by kamień związano u szyji jego, i rzucono go w głębokości morskie.“ . . . .

Pismo święte.

O dajcie zbliżyć się maluczkim ku mnie!
Rzekł Chrystus uczniom — i poszli uczniowie,
A dzieci zbiegły się do mistrza tłumnie,
Co im da ojciec, — co im ojciec powie?
Różnych okolic matki się cisnęły,
Jedne za ręce wiodły pacholęta,
Inne na ręku niosły niemowlęta
By szaty mistrza ustami dotknęły . . .
A Jezus siedział na wielkim kamieniu,
I na kolana brał każde pacholę,
Każde obdarzył w staréj palmy cieniu
I błogosławił po niewinném czole . . .
Temu dał świeżą gałązkę oliwy,
Tym winne grono, polnéj lilii kwiatek
Owoc tamtemu — każden był szczęśliwy,
Uszczęśliwionych ciesząc serca matek . . .
W tém pojrzał Chrystus, a w cieniu zdaleka
Wątłe tam dziecię i bez matki stało,
A było smutne — jak bywa kaleka
I w oko jego tęsknie poglądało . . .
Gdzie matka twoja? — zapyta, dziecino?
Ja niemam matki — matka moja w grobie
A jam sierota — choć nie moją winą . . .
Dziecię, rzekł Chrystus — cóż dać mogę tobie? —
Rozdałem kwiaty i owoce ziemi,
Cóż ci dam więcéj nad sieroctwa troskę? . . .
To mój cierń własny, — chcesz go dziecię ziemi?
I z oka swego — rzucił mu łzę boskę . . .
Posadź tę różkę na twéj matki grobie
I wierz do końca, miłością wytrwania,
Nim wskrzeszę matkę — będę ojcem tobie

Pomnij żem ja jest drogą zmartwychwstania! . . .
I niepojęły słowa mistrza matki,
Uszły do piersi tuląc trwożne dziatki,
Ale sierota do mistrza przypadła,
I z głośnym płaczem objęła w ramiona,
Mistrza miłości przeczuciem odgadła,
Bo miłość trąba na śpiące plemiona!
Bo miłość mieczem na szatanów zgraje,
Bo miłość, na złość złości, jest miłością,
Bo miłość skonem własnym zmartwychwstaje
Bo miłość Bogiem, a Bóg jest miłością! . . .
Na niebie czarne zbierały się chmury
I błyskawicy trysnął blask ogniowy,
Ryknęły grzmoty nawałnicą z góry
A Chrystus niemiał kędy ukryć głowy . . .

Mogiły Boremla.

(Poświęcone Edwardowi!)

Czyś słyszał, kiedy ziemia o północnéj dobie
Wzdycha, gdy się zatrzęsą w niéj poległe kości? . . .
Tam westchnęła! . . . lecz w ciężkiéj rozdarta żałobie
Wzychając — nieopadła! . . . to kurhan przeszłości! . . .
Dziś zamiast pielgrzymować do skał Palestyny,
Przejdź od morza do morza ojczyste krainy
I przy tych się mogiłach zatrzymaj, w miłości! . . .
Uklęknij tu pielgrzymie, i usty drżącémi
Przytul się do téj piersi twojéj matki ziemi,
Słyszysz te dźwięki dzwonów jak o niego krwawe
Biją arfą Jeremich, rosą zmierzchu łzawe,

*) Wiersz ten z téj saméj całości, co list z Warszawy. — W zniszczeniu jakiém Moskwa 1831 napełniła Boremel na Wołyniu, ostała się cierpiarnia z dużemi drzewami pomarańcz — by i temu dojechać końca, Moskale w zimie na śniegu, ustawili z nich kląb dla przejeżdżającéj Caryczy. —

I śrebrną z łzą obłoków gwiazdeczka polarna,
Mruga nad polem bitwy, niebios skra ofiarna! . . .
Upadnij tu! i wyślij jak z piersi twéj matki,
Szczątki życia i wspomnień bolesne ostatki,
A zerwawszy się myśli orlemi piórami
Patrz w przyszłość i siéj pomstę piorunów iskrami!
Przytul ucho! tam cisza! . . . święta! nieśmiertelna —
Ha! cisza obiecana i nieskazitelna,
Tam śpią kości poległych, których losem było
Nieprzeżyć matki swojéj! lecz pod jéj mogiłą
Śnić błogo snem dziecięcia w wieczności obszarach,
I nieczuć krwi swych ojców w krwawéj męki czarach,
I nieczuć prochu ojców w gorzkim codzień chlebie,
Lecz kluczem orłów zniknąć w dziejów chmurném niebie!
I nieczuć całych piekieł na czarném dnie duszy,
Kędy ryk zszatanionych szatanów już głuszy . . .
Umilknij smętna arfo, z żalów podźwiękami,
Nie suchémi te groby osypać listkami,
Im lud Polski uplecie swéj wolności czynem,
Wawrzyn — co będzie wieków ludzkości wawrzynem!
O pokój wam! o pokój! . . . kości tu uśpione!
Pójdę ja cichy pielgrzym, ja osierocone
Pacholę ojców moich — i to w ducha łoni
Zagrzebię i zabiję! lecz serce krew roni! . . .
A kiedy rolnik kości wasze ztąd wyorze,
Klęknie i spyta we łzach, czyj to proch o Boże! . . .
I przez usta skowronka, cichéj rosy łzami
Powieje mu wieść w serce — męki podaniami,
I pomści się za czasy, gdzie lud Polski ciemny,
Nie wsparł swą siłą matki w walce dziś daremnéj!
Tam Bóg milczy! a człowiek smutkiem obłąkany,
Błyśnie wzrokiem rozpaczy, w cień grobów zagnany,
A kiedy w grzmotach sądu trąba archanioła
Stosy kości na wieczne świadectwo powoła,
Zerwiecie się, jak orły, a łza méj boleści
Z wami błyśnie, jak dzisiaj, przepada bez wieści! . . .

1850. Stary Staw.

Mogiły pod Górką.

Siedm mogił w wianek leży, jak siedem boleści,
Nad niemi trzemielą sosny, pod śniegiem zielone,
O! szepczą uszom twoim, głuche, tajne wieści,
W niebo jak skrzydła wznosisz — piści skajdanione!
Ale czarno na niebie — a tu — tron ciemności,
Próżno w pierś tłuc kamieniem, acz piersi zranione,
Niech pękną — już boleścią w końcu zszatanione! . . .
I zazdroszczę ich mogił, popiołom tych kości —
Strasznéj boli ból ludu, nad człowiecze bole,
I nim chwilą dojrzewa, na męża pacholę! . . .
A w górze jęknie anioł stróż: Przebacz mu Panie!
Bo strasznie stać posągiem na braci mogiłach,
Bić w arfę nieśmiertelnéj duszy już niestanie
A dla wrogów ojczyzny, krwi niestanie w żyłach! . . .
I ból mnie znów zatoczył do piekła rozpaczy
I słyszałem gdzieś w dali głos Polskich tułaczy . . .
I podziemny świst knutów w ciemności żywiołach
I śrebrny strumień płaczu szlochał po aniołach . . .
To naród — co za ludzkość walczył — pod tym głazem!
A z daleka po świętych pobojowisk błoniach,
Orły niosły ich kości przy wolnych pogoniach,
A dziewice na barkach z młodzieńcami razem
Szli — lecz już nie niewoli lud ten był obrazem,
Na barkach odnosili wygnańców popioły
Z śpiewem, w wolną ojczyznę, a jéj apostoły,
Z błękitu rozczulone na dzień poglądały,
Jakiego dotąd ludy ziemi — niedoznały! . . .

Z poematu: lica mej ziemi.

I.

Jak manna niebios są te wieści ludu,
Tęczą na matki nieśmiertelne wiano,
Pełne anielstwa — i życia — i cudu,

Lecz giną z świtem, niezebrane rano! . . .
Więc w pochód, w pochód, młode pokolenie,
Nim słońce jutra zbierze je promieniem,
I odda Bogu niewzięte nasienie,
Co wiek w swe piersi niewciągnął natchnieniem! . . .
Ta wielka ziemia od morza do morza
Leży odłogiem, niema i bez wieści,
Bo nikt niespytał jej łona, rzek łoża,
O jéj bogactwa, głębie i boleści! . . .
Więc w pochód, w pochód po ziemi rodzinnej,
Przy piersi rozgrzać lud i ludu myśli,
W płomień zlać iskry ich duszy dziecinnéj
Jak te anioły co do Piasta przyszli . . .
Bo Polska — to jest ziemia obiecana —
Przez oświecenie ludu do niéj droga,
I lud oświecać — to wypędzać wroga —
A lud zaniedbać — to wspomódz tyrana! . . .
Więc za skowronkiem od morza, do morza! . . .
Pieśń nasza cicho wschodzi jako zorza,
Żałosną dumką poczyna swe głosy,
Jakby się żaląc na narodu losy,
Aż w łan szumiące zapłaczą się kłosy,
Smętnym mazurkiem, w wesołość szaloną
Przechodzi raptem, jako wyzwoloną
I Krakowiakiem hasa już wesoła
Aż polonezem w wieków pójdzie koła . . .
W tych pieśniach różnych ziem wzajemna mowa,
To Ukraina wita gród Krakowa,
A tam Warszawa puszczom Białowieży
Śle pozdrowienie, skąd znowu pieśń bieży
Od skał Kamieńca, ku Wołyniu ranem
I znów przewiewa Sandomiérskim łanem,
Aż ożeniona z dźwiękiem kós górala,
Gdzieś w Morskiém oku przepada jéj fala . . .

II.

Tyle mogił w Ukrainie,
Tyle zamczysk w Gruzach kona,

Tyle rzek krwią podań płynie,
Krwią od matki Polski łona . . .
A kto spytał ciebie ziemio,
Kto zapytał twe mogiły,
O popioły co w nich drzemią,
Z iskrą w sercu pełną siły? . . .
Kto z młodzieńczą w duszy wiarą
Kij pielgrzymi wziął w zapale,
Badać treść twych podań starą,
Co dziś gwieździ tak wspaniale?
Nad dziejowe wstając fale! . . .
Przebóg Polsko! cóżto znaczy? . . .
Czy pomarły twoje syny,
Czy zmarniały na tułaczy,
Czyż jam pielgrzym twój jedyny? . . .
Od Czorsztyna do Ostroga
Héj! od Gopła do Tatr szczytu,
I od świątyń Swentoroga
Do Wawelskich baszt błękitu . . .
Od kurhanów Ukrainy
Do Chocima łąk zielonych,
Od Boremla pól skrwawionych
Milczą dzisiaj twoje syny?
Toć jak spoczął Acern stary —
Tylko Janusz Ciebie jary
Zaklął pieśnią pełen wiary! . . .
O! a tyle ziemio droga
Skarbów masz, ty córo Boga! . . .
Od Wiśnicza do Tenczyna,
Od Halicza do Kalisza,
I z Warszawy na Kujawy,
Od Kamieńca do Krzemieńca
Od Krakowa do Grochowa!
Z Zółkwi po gród Gedymina,
I do Orszy aż od Gdańska,
I od Łucka do Lublina,
Ty króleska! ty hetmańska!
I od szczytów jasnéj góry
Aż na Tatrów szczyt ponury!

Od Baru do Obertyna,
Z Maciejowic, Ostrołęki
Lećcie ptasze me piosenki!
Jak na niebie gwiazd, tak w ziemi,
Naszéj wielkich jest pamiątek,
Każdy kątek, każdy szczątek
Ma relikwię swą dziejową,
Jak kopalnie z skarby swémi,
Ty przemawiasz wspomnień mową
Z Miodoborów do Humania,
Z Zofijówki do Rowizny,*)
Od Kijowa do Klewania,
Z Delatyna do Tywrowa,
Od Wieliczki do Pińszczyzny,
I od Wilna aż do Lwowa
Płynie mlekiem pierś ojczyzny! . . .

III.

DROGOZKAZ PODRÓŻOMANOM.

W Jeruzalem stać przy Krzyżu,
Jeźli płakać — o! to w Grecyi,
Jeźli kochać to w Wenecyi,
Jeźli szaleć, to w Paryżu!
Gdy zadumać się — to w Rzymie,
Jeźli marzyć, w Neapolu,
Lub w błękitnym tonąc dymie,
W cieniach Konstantynopolu . . .
Jeźli tęsknić, jeźli śpiewać,
To w Alhambrze, lub w Palmyrze,
A jeźli się na świat gniewać,
To w Szwajcarskich Alp szafirze! . . .
W kim już piękność trzeba budzić,
Majestatu sztuk kto niezna,
Nad Ren może się potrudzić,

*) Rowizna i Tywrów nad Bohem, miejsca małe znane — a w prześliczném położeniu.

A odpocząć w murach Drezna.
Niech Monachium i Walhallę
Ujrzy w piękna cichej chwale!
Lecz olbrzymio — żyć w żałobie
I umierać jak orlęta,
Polsko! można tylko w tobie,
W tobie tylko nasza święta! . . .
Jeśli spać, to w twym karbanie,
Życiem żyć nad śmierć trudniejszém,
O! twą miłość nawet stanie
Rzucić światło najciemniejszym!
Choć w kajdanach strzedz wolności,
Grób jéj znakiem zmartwychwstania,
Tyś zorzą nieśmiertelności,
Do ludów uszlachetniania! . . .
Bo zszlachetnić duszę nizką,
To dziś spolszczyć! znaczy ludzi,
O! spolszcz ludzkość bagien blizką,
Niech się dusza w niéj przebudzi! . . .
Kto Tatrzańskiéj niezna burzy,
Ani ciszy na Wawelu,
Nic niewidział w swéj podróży
Choć deptał prochy Babelu . . .
W Białowieży puszcz on szumie
Nieułoży do snu głowy,
Ani w Ukraińskiéj dumie
Wzleci po nad brzeg Dnieprowy! . . .
O! i po nim niezadzwoni
Częstochowy dzwon rodakom,
Gdy ojczyzna łzy tu roni,
On podobny wietrznym ptakom!
Zamiast cierpieć jéj cierpieniem
Kto się w obce wyprowadza,
Ten z ojczyzny zerwał cieniem,
Kto opuszcza, ten ją zdradza! . . .
Nad nim niechaj się zasmuci
Każdej duszy głos rodowy,
On swéj cegły niedorzuci
Do pokoleń wszechbudowy! . . .

Poznaj cały świat pielgrzymie,
Ale znaj ojczyznę twoją,
Wiedz, co w niéj świętości drzymie,
Byś się modlić mógł w jéj imię,
By Ci ona była zbroją —
Byś się czynu modlił dobą,
A czyn, modlił się — za tobą!..

IV.

Arfo moja złotostróna!
Kędyż dźwięki twego łona?..
Gdzieś daleko rozpierszchnione
Jak sokoły rozproszone,
Po szerokim wielkim świecie
Jak łabędzie zasmucone,
Do dalekich sunąć brzegów
Sunąć w gwiazdach fali biegów...
Jak łzy burzy na łąk kwiecie!
Długo cichą i grobową
Cię wieszałem pod dąbrową,
A dziś znów cię biorę w dłonie,
I ze łzami gorącemi
Arfo moja złotostróna
Do krwawego cisnę łona,
I przed gwiazdy jarzącemi
Wznoszę w górę, uskrzydlona!...
Długom milczał z sny tęsknemi
Ucho tulił do méj ziemi,
Ssąc z niéj życia nektar boski
Na serdeczne wszystkie troski....
Héj! precz chmury z mego czoła,
Biję — targam sępa szpony,
Stróny, jako męczeństw dzwony,
Bijcie głośno, duch was woła!..
Precz co swoje, samolubne,
Co człowieka cieszy, boli
To nasiona śmierci zgubne,
Do ugoru rzuć jéj roli —

Nr 153202

Serce treścią w pieśni całą
Polskę tylko — ukochało!..
Ku niéj ogniem — oszalało!..
Polska tylko! jasna święta,
Archanielska, wniebowzięta,
Niechaj wszystkim, wszystkiém będzie!
Życiem, śmiercią, szczęścia bólem,
Ten ból wszystkich bólów królem!..
My nad świętym pracy ulem
Ku niéj płyniem jak łabędzie,
Niech nas Polski bodzą ciernie
Niech nas Polski bolą rany,
Niech nas palą — jéj tyrany
Łza jéj niech nam gwieździ wiernie!
Ona tylko — wielka, śmiała!
Obok niéj — nic — nic — nic w łonie,
Chyba myśl coby kochała,
Drucha w cierniów jéj koronie,
Polsko jasna! córo Pana!
O ojczyzno święta nasza!
Tu przed tobą — na kolana!
Tobie serca każda rana,
Na twój ołtarz, krwawa czasza...
Miłość twoja pali łono!
Nią szaleję ja ku tobie!
Kiedyś z cierni twych korona —
Stań na chwilę na mym grobie
Każda inna za uboga,
Za tę miłość co ci dałem —
Ach! nieraz się Boga bałem,
Żem Cię kochał tu — nad Boga!..
W imię twoje poodrywam
Co najdroższe tu od łona,
Łzami rany twoje zmywam
I boleścią Laokoona
Gdy nad tobą się rozżalę,
Gdy ulecę zemsty ptakiem,
To piorunem zagrzmię — takim,
Że od niego — sam się spalę!...

V.

Potoczyłem smutném okiem
Po tych licach mojéj ziemi,
Łza na strony padła z wzrokiem,
Com szpony szarpnął orlemi,
Precz! szatany, z drogi ducha!
Każda wieniec ma ruina,
Anioł wieków głosy słucha
W imię ojca — ducha — syna! —
Polsko, Polsko! héj orlico!
Ty uorlij lot natchniony,
Pójdę w drogę z powiernicą,
Z lutnią pójdę w swoje strony —
Ma rodzina, wielka — boża —
Od morza — do morza!..
Z mogił twoich, z piersi matki,
Ssać podania iskry święte,
Przeczuć duchem te zagadki
Co tam jeszcze śpią zaklęte....
Pójdę pierś rozdartą, krwawą,
Do snu złożyć, na twém łonie.
I źrenicą już bezłzawą
Po twych licach, po gwiazd tronie,
Toczyć milcząc, chłonąć wzrokiem,
Każdą chwilę z dni przeszłości!...
Za dziejowym słońc prorokiem,
W lot ku bramom dni światłości!
Twoją boleść mą boleścią,
Śmierć twa śmiercią — i mąk zdrojem,
Potwarz chwałą — męka cześcią
Lecz twe życie — życiem mojem!...
Jak krzyż, dzisiaj znakiem chwały
Szubienice się już stały!..
Witaj Polsko! Polsko święta!
Córo Boża nad światami,
Już ku tobie twe orlęta
Sierocemi drżą skrzydłami!
Przed twe stopy w twym pochodzie

Przez te piekła, przez te światy,
Rozścielamy się na przodzie,
I ciskamy — palmy! szaty!..
Krzyż twój dźwigać, nam rozkoszą,
Bo w nim czujem — nieśmiertelność,
Pić twoj kielich, nasza dzielność
Mąk anioły nam go niosą....
Z aureolą ducha świętą
Nad chaosem burz rozpiętą,
Widzim jasną — Bogu własną!
Czoło twoje w gwiazd przestworzu,
A twe stopy na kurhanach łąk,
Bo zburzoném dziejów morzu
Stąpasz naprzód, z stem tysięcy rąk!..
Stem tysięcy nóg!...
Po piekłach dróg —
A z tobą — Bóg!..
W każdym bujnym twym kurhanie
Błyśnie ludu zmartwychwstanie,
Pieśń o tobie szumi w zbożu,
Trzody ryczą imię twoje,
I skowronkom dzwonią zdroje
Na śmiertelném każdy łożu
Czuje przyszłe życie twoje!..
I konając, w skonie wierzy,
Póki anioł nie uderzy,
W dzwon męczeństwa arcydzielny,
W niewolników, dzwon weselny,
Na którego dźwięk gromowy
Swiat się wstrząśnie w swéj posadzie,
A szatanów zastęp nowy
Runie w tyrańskwa kaskadzie —
Tam! gdzie światłu tamy kładzie,
Na ciemności wieczne tamy,
Do piekielnéj zbrodni bramy!..
A w twe imię On! duch święty,
Na dzień trzeci się pojawi,
Po nad krzyżem twym rozpięty,
Pocieszyciel! nas wybawi!..

Teraz ogniem ducha siły,
W dal o! w dal na twe mogiły,
Aż duch prawdy na świtanie,
Z swéj mogiły — zmartwychwstanie!
Wśród tęcz blasku — gromów trzasku,
Wstaje gwiazdy téj świtanie,
O! lud się niewcześnie smucił,
Że mu został cierń od róż,
Że mu od ust nie odwrócił,
Bóg kielicha w gromach burz!..
Ty królowo bożych światów!
Już przed Panem tam klęcząca,
Przebaczenia dla twych katów,
Wśród piorunów wołająca,
Jasna — boska — nad słońc słońca, —
Polsko! dziecię Zbawiciela!
Tyś piorunem kusiciela!
Tyś jest dziejów gołębicą!
Błyskawicą
Archanioła Gabryela!
Tyś źrenicą
Stworzyciela!...
1859.

Exoriare.

Na jasnych wzórzach méj duszy oczyma
Widziałem tłumy klęczących rycerzy,
Ze sztandarami, idei olbrzyma,
Którą Bóg Wielki miarą wieków mierzy!..
Lecz tłum ten jasny, boży i wybrany,
Był jako tęcza barw splecion akkordem,
Klęczał lud wielki, siermięgą odziany
I chrobrych dzieci zastęp, z ojców kordem!..
Mieczami krzyże w powietrzu rzucili,
I klękli na wschód oczekując słońca,
Z za gór trysknęło — zorzą przyszłéj chwili

I Bóg rzekł ziemi téj — z końca do końca,
Exoriare!
Trysnął zdrój światła — i krzyk wielki ludu
Przebił obłoki — i zatrząsł tą ziemią,
Że w niéj zadrzały kości, jak w dzień cudu
Dzień kiedy ducha żniwa się rozplemią...
Bo zamiast słońca z za gór w zórz purpurze
Orzeł się biały — świetlanie wysunął,
Rozwiane skrzydła w krzyż rozbił na chmurze,
I od stóp jego grom w otchłanie runął!..
A lud zawołał — o! znamy Cię, znamy!
Na tarczach naszych, na mogiłach naszych,
Nieprzezwyciężą Ciebie piekieł bramy:
A Bóg rzekł orle ty: „naszych i waszych!“
Exoriare!

1860.

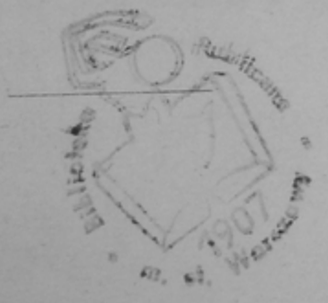

z. 153202

Drukiem A. Th. Engelhardta w Lipsku.

100r/K.